Cena zł 20 + 1 na fundusz dzieci „CARITAS"

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV | Warszawa, 25 stycznia 1948 r. | Nr 4 (113)

Włodzimierz Pietrzak (Balk)

MOŻLIWOŚCI DYDAKTYZMU

Nawiązując do toczącej się dyskusji na temat planowania twórczości kulturalnej zamieszczony artykuł naszego kolegi śp. Wł. Pietrzaka, poległego w Powstaniu Warszawskim. Pietrzak już w roku 1943 sformułował tezy programowe naszego środowiska w tej kwestii, a uwagi Jego nic nie utraciły na aktualności. Są przy tym głębsze i bardziej twórcze niż większość montowanych ad hoc na ten temat wypowiedzi, które ostatnio zapełniają prasę.

Krańcowością zupełną w stosunku do postawy racjonalistycznej intelektualistów jest pogląd, że zadaniem artysty jest służba ideologiom. Zacierając własną osobowość, powinien artysta przestrzegać często już nie normy, wypływającej z ideologii, lecz musi niekiedy posunąć się jeszcze dalej i przestrzegać w środkach ekspresji, w wyborze tematów — zasad aktualnie obowiązującej taktyki politycznej.

Podobny w praktyce sens miało hasło sztuki narodowej w Polsce, hasło, o wiele silniejsze w głosach krytyki i publicystyki. niż w praktyce literackiej. Praca Zygmunta Wasilewskiego „O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej" nie przynosiła nic nowego ani nawet konkretnego na tyle, aby powstać mogło w ogóle jakieś dokładne kryterium. Tropami Mochnackiego odwoływała się do wszechmocy ducha i mówiła o znaczeniu narodowego środowiska dla formowania świadomości pisarza.

W praktyce laur sztuki narodowej przypadł w udziale, pomijając niezawsze łatwy do skontrolowania moment politycznej konfesji, za stanowisko wobec historii i wobec religii, Sienkiewiczowi, a potem Szczuckiej, ceniono wysoko optymizm historyczny — i z tych samych względów wzgardliwie przyjmowano sprostowania Górki. Płomień, „krzepiący serca" z czasem jednak tylko usypiał, tylko kołysał do snu, nie budząc żadnych energii. Innym pisarzom, jak Rodziewiczówna, jak Sienkiewicz, jak Weyssenhoff za zasługę poczytano religijność, bądź pomijanie i likwidowanie zagadnień socjalnych wobec wagi zadań narodowych, zadań patriotycznych. W ten sposób działa się krzywda zarówno sztuce, jak i patriotyzmowi. Karmiony hasłem „sztuki narodowej" ogół zatracał zrozumienie odrębności i swoistości estetycznych problemów. Nacjonalizm literacki wysuwa w praktyce na czoło lichą deklarację zamiast inteligencji, zamiast pasowania się myśli. Z patriotyzmu tworzy się rodzaj deklamatorski biurokratycznego, oficjalnego pojęcia rodzaj smoka z oficjalnie nudnych wypowiedzi, pozbawionego wewnętrznej problematyki. W zawołaniu sztuki narodowej odżywał upiór St. Tarnowskiego. Żadne egzorcyzmy nie pomagały.

Istnieje niewątpliwie sztuka narodowa — jako zakątek [illegible] cudzoziemcowi zawsze jest trudno wniknąć bez reszty, zrozumieć wszystko. Taką sztuką jest literatura Żeromskich i Wyspiańskich, Dostojewskich i Tołstojów, Hugo i Balzac'a, Dickensa i Shaw'a. Najlepszą receptą na podstawie sztuki narodowej to jest pielęgnowanie wielkich. tzw. głębokich uczuć, pielęgnowanie w sobie pasji, namiętności. Nie można jednak nawoływać. Pan Jourdain długo nie wiedział, że mówi prozą. Wskazówki, nawet ze wzniosłych zamiarów idące, popychające sztucznie pisarzy, dobywają z nich echo, które też będzie sztuczne, deklamatorskie, którego poczciwy i dobroduszny nieraz ścieg jest rażąco widoczny. Dobroduszny i nieco komiczny: bo komizm budzi, gdy ktoś pragnie czcić narodowe rocznice przez wkładanie białoczerwonych pantofli. Właśnie, jest różnica między Żeromskiego „sandałem z płomienia", a tymi kolorowymi pantoflami.

Bardzo istotnie ujął, bez maski, postulaty nacjonalistyczne w literaturze Charles Maurras, pisząc jeszcze przed r. 1914, że Francja nie może sobie pozwolić na laisser faire w literaturze, że literatura musi przeprowadzać reedukację płuc francuskich, ściśniętych klęską 1870 r, że musi być podporządkowana potrzebom narodowej polityki. Pozornie nie ma przeciw temu dydaktycznemu ujęciu argumentów sprzeciwu. Chwyt jest mocny, pełen sugestii, przechodzi do porządku nad zagadnieniem, że twórczość literacka, artystyczna. nie jest twórczością służebną. Jak Saint - Beuve nie mógł tworzyć recept dla powieści Balzaca, tak Maurras nie jest w stanie narzucić niemal niczego twórczości współczesnych W literaturze — jak mówił Thibaudet — l'esprit faiseur l'ordre triomphe là ou l'esprit faiseur de prédictions avait échoué. Nie tylko nie można przewidywać, gdy chodzi o literaturę, nie można nakazywać. Natomiast pisarze będą mieli zawsze większy zakres kompetencji artystycznej i ona może wespół z sumieniem społecznym decydować. Możliwy wpływ krytyki jest jeden: podpowiadać. Podpowiadać tak głośno, aby być dosłyszanym, ale bez emfazy, bez pompy, bez szantażu psychicznego, jakim nierzadko posługiwał się Brzozowski. Bez tego — „jeżeli nie usłuchasz, to zginiesz".

Dydaktyzm także wysunął potrzebę w działalności literackiej. Wartość dydaktyczna przybiera formę tendencji. Tendencyjność sztuki stanowi wyraz przekonania, że efekt artystyczny jest natychmiastowy, bezpośredni i utylitarny. Nie piękno i nie poznanie artystyczne mają wartość, lecz apostolski, wychowawczy efekt artyzmu.

Dydaktyzm jest rodzajem skrótu. To, co w normalnym obiegu dzieło sztuki i tak zawsze osiąga, ów wpływ kształtujący postawę moralną, sposób odnoszenia się do świata, dydaktyzm pragnie osiągnąć zaraz natychmiast. Dzieło artystyczne, puszczone w obieg społeczny, zapisał trafnie Łaszowski, rośnie jak lawina, obrasta we wszystkie wzruszenia i przeżycia odbiorców, krąży w świadomości zbiorowej, nabrzmiewa i powiększa się nieustannie. Taki jest właśnie mechanizm trwania w czasie obrazów da Vinci, rzeźb Michała Anioła, dramatów Szekspira. Dydaktyzm gotów jest za pośpiech płacić pewną cenę: **rezygnuje z głębi artystycznego doznania.** Bohater powieści dydaktycznej istnieje jako funkcja idei. nie jest interesujący jako osobowość, jest osobiście niezdolny do tragizmu. Może to być tylko tragizm idei, nie człowieka. Ten tragizm idei opiera się na konwencji założonej, na kłamstwie konwencji. Dydaktyzm obiera sobie punkt, który wynika z potrzeb lub ze słabości obierającego i całą energię dzieła literackiego sprowadza do oddziałania w tym właśnie punkcie. To jest pomysł zaczerpnięty ze strategii i opiera się na założeniu, że taka koncentracja ognia natychmiast otworzy wyłomy, rozszarpie w czytelniku opory, a w przypadku obojętności — zmusi zaraz do zajęcia postawy. Pośpiech dydaktyzmu jest jednocześnie natrętny i niedyskretny. Zarazem, jest zubożeniem — przez zwężenie frontu przez prowadzenie ataku w jednej płaszczyźnie, przez pomijanie innych perspektyw widoczności. W dydaktyzmie jest coś z nastroju rentgenowskiego gabinetu: rozumiemy jego pożytek, lecz nasz zmysł pozostaje głodny i niezaspokojony. Wyrazistość rysunku literackiego (tendecja gra tu rolę rentgenowskiego aparatu) budzi niepokój — czy aby to jest właśnie wszystko, czy poza tą wizją szkieletu nic już nie ma?

Tam wszędzie, gdzie sztuka jest traktowana jako forma świadomości służebnej, a nie historycznej, występuje moment dydaktyczny jako realizacja idei służby. Moment dydaktyczny zwycięża tam, gdzie bierze źródło w ideologii społecznie silniejszej, rewolucyjnej, walczącej o zwycięstwo z ideologią starą, kostniejącą, niezdolną do galwanizacji nawet w imię obrony. Dydaktyzm służy jednak krótko. Zawiązuje walkę na przedpolu rewolucji, stacza ją w sposób gwałtowny — i milknie, gdy nastąpi historyczne, społeczne rozstrzygnięcie. Nurt dydaktyczny przechodzi potem w ton realizmu, namiętność przekonywania i wezwania zamienia się w pasję wnikliwości, w pasję sprawozdawczą. Przedłużenie się okresu walki przednich sił prądu ideowego świadczy conajmniej o trudności w osiągnięciu zwycięstwa, a jeżeli postawa dydaktyczna staje się trwałym obyczajem i umysłową modą — o bezdziejowości prądu, o odrzuceniu go przez inne siły poza brzeg historii. Stara, ginąca ideologia posługuje się często momentem dydaktycznym dla obrony tych wartości, które są przedmiotem cudzych ataków. W takim dydaktyzmie jest nie impet natarcia, lecz impet odwoływania się do tradycji, do uprawnień słuszności i doświadczeń, które mają za sobą osiągnięcia już wypróbowane.

Momentem dydaktycznym posługuje się również tzw. literatura proletariacka. Materializm historyczny jest próbą wyjaśnienia genezy procesów kulturalnych, nie stanowi jednak podstawy, aby te procesy wartościować lub zmieniać. Podstawą do oceny jest dopiero kultura socjalistyczna jako historyczna świadomość proletariatu. która w pełni istnieć może tam, gdzie pojęcia narodu i proletariatu są równoważne, gdzieindziej występuje poprzez dynamikę haseł jako ideologia. Ta dynamika haseł w literaturze występuje jako tendencja. Dydaktyzm przestaje być wtedy instrumentem literackim, a poprzez płynną bardzo granicę staje się narzędziem politycznym. Płynność i nieoznaczoność tej granicy sprawia, że powieść dydaktyczna nie może być uznana jako dziecko nieprawe literatury. Sztuka nie zna pojęcia legalności. zna natomiast kryterium artystycznej nieprawdy. W tych wypadkach potomność jest sędzią nieubłaganym i tak sprawiedliwym jak każdy sąd koronny.

Fałsz artystyczny ma kilka postaci, od zasadniczej i prymitywnej, kiedy pisarz kokietuje publiczność

Wytyczne

„Ewangelie"

Ewangelia, podobnie jak księgi Starego Testamentu, przewyższa nieskończenie wszelkie kategorie literackie i dialektyczne. Nie jest księgą, lecz pośmiertnym wcieleniem Tego, który kocha każdego z nas więcej, niż my sami potrafimy siebie ukochać.

Niesposób porównać jakiejkolwiek innej grupy powiązanych zdań i słów z owymi czterema snopami zbóż, niebieskich które od sześciuset tysięcy dni sycą głód i karmią miliony dusz.

Płacząca Andromacha Homera w porównaniu do Dziewicy na Kalwarii jest drugoplanową aktorką w melodramacie, Ulisses, żeglujący na morzach, aby powrócić do opuszczonej małżonki, jest manekinem z bajki wobec syna marnotrawnego, który poszukuje ojca, wobec pasterza, poszukującego owcy zgubionej. Eischylos ze swoim Prometeuszem, otoczonym przez Oceanidy, nigdy nie stworzył tak straszliwej tragedii, jak ta, której końcem była Golgota.

Nawet Dante jest tylko wspaniałym malarzem tradycji chrześcijańskiej, a w najstraszliwszych swych tercynach nie potrafi zdobyć takiej siły wyrazu, jaki brzmi w prostym, proroczym przemówieniu Chrystusa, wygłoszonym na wzgórzu w obliczu Świątyni skazanej na zagładę.

(Jan Papini)

Powyżej zamieszczamy fragment wstępu J. Papiniego, do najnowszego, włoskiego tłumaczenia „Ewangelii", który drukować będziemy w nast. numerze „Dziś i Jutro".

W kraju...

POWSZECHNA ORGANIZACJA MŁODZIEŻOWA

10. I Przed wojną starsza młodzież szkół średnich była objęta powszechnym obowiązkiem P. W. Centralny organ P. P. R. „Głos Ludu" donosi o decyzji powołania w najbliższym czasie organizacji młodzieżowej, której rola byłaby w pewnej mierze analogiczna do roli przedwojennego Przysposobienia Wojskowego. Organizacja ta pod nazwą „Służba Polsce" ma objąć całą naszą młodzież w wieku lat 16—21. Dążąc do wzmożenia gotowości obronnej kraju i umasowienia kultury fizycznej, „Służba Polsce" zajmie się również przysposobieniem zawodowym młodzieży.

W związku z tworzeniem powszechnej organizacji młodzieżowej, w której udział będzie posiadał przymusowy charakter, nasuwa się pytanie w jakim stopniu wpłynie to na ustosunkowanie się Państwa do organizacji, zrzeszających młodzież na zasadzie zgłoszenia dobrowolnego. Czy np. będzie dozwolone jednoczesne należenie do dwu organizacji?

WYROK W PROCESIE DOLEWSKIEGO

Głośna afera papiernicza znalazła swój finał w wyroku Wojskowego Sądu Rejonowego w Łodzi z dnia 12 bm.

Sąd uznał wszystkich oskarżonych winnymi zarzucanych im przestępstw, przewidzianych w artykule 3 par. 2 dekretu z dnia 1947, o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa. Mocą wyroku oskarżeni Dolewski i Rozmanit zostali skazani na karę śmierci, osk. Romańczuk na 15 lat więzienia, osk. Springer na 8 lat, osk. Koziełł na 10, oskarżeni Biedrzycki i Kuchowski na 6 i 5 lat więzienia.

Przekazanie przez osk. Dolewskiego 2 milionów 200 tys. zł. na fundusz przedwyborczy PSL z pieniędzy pobranych w poznańskim Banku Handlowym, bez dostatecznego zabezpieczenia materiałowego, nadało sprawie dodatkowy aspekt polityczny. Wydaje się jednak, że na surowej sentencji wyroku zaciążył w głównej mierze rozmiar poważnych malwersacyj gospodarczych, ujawnionych szczegółowo w toku przewodu sądowego.

Zeszłoroczna afera cynowa, zakończona również dwoma wyrokami śmierci dowiodła chyba ponad wszelką wątpliwość, że Państwo jest zdecydowane z nieubłaganą surowością walczyć z nieuczciwością w życiu gospodarczym.

WALKA Z NIERZĄDEM

Dekret o walce z nierządem, opracowany przez Ministerstwo Zdrowia jeszcze w r. 1945 równocześnie z dekretem o walce z chorobami wenerycznymi do tej pory nie wszedł w życie. Nie potrzeba wyjaśniać jak ścisłe zachodzi powiązanie między tymi dwiema klęskami społecznymi. Przykład Rosji Sowieckiej, gdzie prostytucja znajduje się poza prawem winien być dla nas doprawdy niesłychanie żenujący, prawie tak samo jak niedawne zniesienie kary śmierci w tymże kraju. Pod niektórymi, nader zasadniczymi względami o ileż bardziej stoimy w tyle.

W związku z powyższym należy gorąco przyklasnąć inicjatywie Zarządu Głównego Ligi Kobiet, który zwołał konferencję z udziałem przedstawicieli Rządu w sprawie natychmiastowego podjęcia walki z prostytucją. Ponieważ rzeczą statystycznie dowiedzioną jest fakt, że szeregi prostytutek rekrutują się z elementów najuboższych, przeważnie niekwalifikowanych zawodowo — walkę z nierządem należy podjąć przez zawodowe szkolenie mas kobiecych, przez moralną i materialną opiekę nad matką i dzieckiem, przez opiekę nad dzieckiem opuszczonym, przez domy pracy i t. p. instytucje, a co najważniejsze [illegible] wywołanie odpowiedniego klimatu moralnego w całym społeczeństwie. Wyłoniona przez konferencję Komisja w najbliższym czasie nawiąże kontakt z Ministerstwem Zdrowia w celu koordynacji pracy.

Słuszna inicjatywa Ligi Kobiet, powinna znaleźć żywy oddźwięk w całym społeczeństwie katolickim, a jednocześnie wywołać akt skruchy, że nie my, lecz stowarzyszenie zgoła niekatolickie podjęło akcję konkretną i zorganizowaną, nam katolikom pozostawiając wątpliwą satysfakcję bicia na alarm.

16. I

literacką, kiedy szuka jej gustów, wyrzekając się własnych — aż do tych granic, kiedy pisarz przyjmuje na siebie cudzy przymus, zewnętrzny, pod którym się załamuje artystycznie i nieraz moralnie. **Dydaktyzm wtedy może osiągnąć cel społeczny, nie likwidując zagadnień artystycznych, kiedy wyrasta z prawdziwych przekonań, z prawdziwej pasji. Kiedy nie jest połączony z wkładaniem kolorowych pantofli... Takie są jego wewnętrzne trudności.**

Co przeciwstawiła nurtom dydaktycznym przedwojenna krytyka literacka? W pokoleniu młodszym, pokoleniu, w którym wystąpili Wyka, Ludwik Fryde i Fr. Siedlecki, krystalizowała się świadomość, że pisarstwo jest wielką dyskusją o problemie wartości. Dyskusja, której tak charakterystycznym przykładem był spór między Wyką a Frydem o wpływy wychowawcze Brzozowskiego, dotyczyła zagadnienia, co należy przyjąć jako wartość i niewątpliwie nie wyszła poza początkowe stadium. Krytycy starszego pokolenia — poza kilkoma jak Piasecki, jak Zawodziński, jak Miller, jak Stempowski — zdawali się wierzyć, że autorytet krytyczny rośnie z uporu, z jakim się zabiera głos i wykazuje błyskotliwość, na ogół była to plejada recenzentów bez większej ambicji lub z ambicjami zawiedzionymi. Młodsze pokolenie zapowiadało się dużo ciekawiej.

Specjalne i odrębne było stanowisko Irzykowskiego. W krytyce tego okresu nikt się z nim nie mógł równać, choć przewaga Irzykowskiego istniała zawsze na wiarę. Niewiele osób zadawało sobie fatygę, aby go przeczytać w całości, i nie stał się jak kiedyś Taine prawodawcą smaku, ani jak Brzozowski heroldem i apostołem. Stworzył jednak jak kiedyś Taine swój „palais d'idées", swoje szklane domy krytyki literackiej, które snadnie nazwać można klerkowską fantazją społeczną à la Jean Jaques Rousseau.

Sztuka jest dla Irzykowskiego narzędziem zachłanności, sposobem powiedzenia tego, czego nikt przedtem nie mówił i czego w inny sposób powiedzieć nie można, a więc aktem poznania. Postulat, aby w sztuce, aby w procesie twórczym istniała chęć ujrzenia wszystkich trudności, nie jest ogniwem zasadniczym jego poglądu, lecz miarą rzetelności intelektualnej, z jaką Irzykowski traktuje zagadnienie.

Dla oceny tego poglądu jest zasadniczą rzeczą wyznaczenie stosunku sztuki do innych form ludzkiej działalności, więc określenie, czy i na ile estetyczny akt poznania jest autonomiczny. „Indywidualność cenna jest nie jako jeszcze jeden nowy, odrębny okaz, lecz wtedy gdy daje coś objektywnie cennego, gdy wyłania z siebie wartość. A wartość poznaje się po tym, że na pewnym punkcie świata ludzkiego powstaje **jakaś nowa korzyść, jakiś przyrost... W dziedzinie sztuki byłaby wartością** taka wizja, która w idealny, okrężny, pośredni sposób dotyczy naszych potrzeb fizycznych i duchowych, a nawet im służy. Więc człowiek i tu jest jedyną przyczyną i jedyną miarą. Brzmi to wszystko na pozór utylitarnie, a jednak na tej przestrzeni, w zasięgu idealnych przedłużeń, można umieścić wszystko, także metafizykę i różnorakie szaleństwo, ale w uszeregowaniu i systemie celowym (gospodarka ducha), biorącym wzgląd na potrzeby człowieka, pojęte jak najszerzej... Przymusowy obiektywizm — pisze dalej Irzykowski w „Walce o treść" — jest ciągłym dążeniem do wyjścia z tego stanu, do narzucenia światu swojej prawdy i uczynienia jej prawdą obiektywną". Wtedy, gdy wydaje się, że już rozumiemy, Irzykowski zapowiada, że ma własną ideologię, lecz narazie jej nie sformułuję, zresztą cząstki tej ideologii są — pisze — porozsypywane w jego pismach.

W „Pałubie", która niewątpliwie zawiera zasadniczą część „programu" Irzykowskiego, autor opowiada się za panowaniem prawdy. Ten punkt wyjściowy „inżynierii błękitnych mostów", jak po małopolsku ochrzcił Irzykowski swoje myśl', sam przez się nie jest jeszcze jasny. Chociaż program dotąd nie został sformułowany, można go sobie w świetle „Pałuby" i „Walki o treść" zawczasu odtworzyć. Irzykowski stoi na stanowisku, że dzieje powinny być kierowane przez myśl kulturalną i wtedy byłyby „dramatem świadomym". Tymczasem dramat dziejów rzeczywistych jest obmyślany i reżyserowany przez „głupich i zbrodniczych partaczy" ze sfery „bieżącej polityki". „Bieżąca polityka" wypełnia dzieje, kultura zaś jest dramatem ubocznym i służebnym, skarży się Irzykowski. Autor „Pałuby" przeciwstawia czynom polityki bieżącej myśl, która byłaby sama czynem świadomym. Sztuka, literatura w szczególności, jest dla niego przejściową formą w rozwoju form życia — jako prareforma dla wyższych typów życia, jako straż przednia ludzkości. W tym sensie poetą ma się stać każdy człowiek, poezja jest tylko — aż tylko — naczyniem na uświadomienie sobie treści. Literatura ma objąć sobą wszystkie praktyczne problemy istnienia i rozjaśniać zawiłe sytuacje, tworzyć mosty między ludźmi. Oto socjalizm utopijny Irzykowskiego, wyraził się Fryde.

Program ten, program rozszerzenia kultury do wymiarów metapolityki — jest zjawiskiem, wobec którego współcześni, poza próbą Frydego w „Drodze", stanowiska nie zajęli. Był zbyt trudnym aby stać się interesujący, nie należał do zagadnień „życia ułatwionego". Było to zagadnienie fałszywości bogów, zagadnienie, które nie weszło w krew polskiej literatury. „Pałuba", książka, o której Wyka napisał, że jest jak „apteka hurtem wystawiona na sprzedaż", nie została wystawiona na licytację i nikt tych środków nie zakupił, a Feldman w swojej historii literatury napisał o tej książce rzeczy tak ubogie, tak powierzchowne, że aż żałosne. „Pałuba" nie jest właściwie powieścią, lecz rozprawą o konstrukcji powieści, ilustrowaną przykładem preparatu. Nieporozumieniem byłoby zalecać ją jako lekturę dla szerokich mas czy jako wzór do naśladowania. Jest to natomiast utwór, który powinien należeć z obowiązku do każdej biblioteki, która ma być jak mawiał Cycero „duszą domu", jest utwór, który powinien dać do myślenia pisarzom. Nieszczęściem „Pałuby" było, że została napisana po polsku. Gdyby napisał ją Francuz, byłaby przetłumaczona i przedyskutowana. Poza Brzozowskim, Lackiem i Wyką nikt się „Pałubą" nie interesował.

Literacka utopia Irzykowskiego odrzuca estetyzm jako niedostateczną miarę życia. Jest to koncepcja w głębi swej podobna do koncepcji „szklanych domów" Żeromskiego, w charakterze przypominająca wiarę Rousseau w możliwość innego, lepszego świata, nieskażonego przez prawo i „cywilizację bieżącą". Cementem świata natury i filozofa z Genewy było uczucie, u Irzykowskiego intelekt występuje jako podstawa świata kultury, gdzie literatura jest zasobem wzorów wszelkich problemów i wszelkiego działania, rodzajem talmudu, zawierającego mądrość abstrakcyjną i mądrość kazuistyczną, praktyczną. Literatura w jego marzeniu utopijnym to jedna wielka i obszerna książka, zawierająca wszystko, książka doskonalsza i mądrzejsza od życia.

Ale literaturę tworzą ludzie, zdaje się nie pamiętać Ikrzykowski, i to oni, poeci i pisarze, musieliby być tak doskonali i tak mądrzy, że życie zrzekłoby się na ich korzyść swych praw, praw spontaniczności i samoczynności, które w karby stara się ująć „bieżąca polityka". Być może, że ze stanowiska obiektywnego, wyższego niż życie, Aleksandra i Napoleona, Karola Wielkiego i Ludwika XIV, Grzegorza VII i kardynała Richelieu, którzy uprawiali „bieżącą politykę", uznać należy za partaczy. Gdy jednak podsumować wysiłek, którym starali się opanować otaczające ich warunki, otaczający ich świat, sąd o nich może uległby zmianie, może jednak nie byli partaczami. Dogmat jest w życiu za obszerny, za luźny, kazuistyka intelektualna czy moralna za wąska, za dokładna, za ciasna. Działanie ludzkie i myśl ludzka muszą między tymi krańcowościami się przebić, liczyć się z czynnikiem, któremu na imię realność społeczna, aktualny stan społeczny, środowisko społeczne, czego nie przewiduje ani dogmat, ani kazuistyka.

Tylko w jednym wypadku pomysł Irzykowskiego mógłby nie być utopią, taka jest Irzykowskiego jedyna szansa: gdyby w jakiejś przyszłości w katastrofach na miarę upadku i zagłady świata antycznego z kolei padły formy współczesnej europejskiej cywilizacji, a ludom, rozproszonym i znękanym apokalipsą wojen i wędrówek, nasunęła się konieczność tworzenia nowych form życia, gdyby te ludy w wykopaliskach na miejscu, gdzie dziś stoi Paryż i Londyn, znalazły literaturę naszych czasów — mogłyby ją potraktować jako pismo doskonałe. Tylko wtedy literatura jako skarbiec tradycji, bogatszej i doświadczeńszej niż nowe sprymityzowane życie, mogłaby to życie prowadzić, rozstrzygać z góry, literą, jego problemy. Autorzy staliby się wtedy bezimienni niepotrzebni, byłaby to Literatura. Pisałoby się ją przez wielką literę tak długo, jak długo nowe życie nie stworzyłoby swoich nowych wartości, w imię których nie zechciałoby się wyzwolić z pod ciśnienia Literatury, aby odżyć w jakiejś nowej literaturze, której form my sobie nawet wyobrazić nie możemy. Ale jeżeli dzisiaj literatura nie jest i nie może być prawodawcą ostatecznym, to nic złego. Świat, który by się układał tylko z artystów — byłby światem okropnym, światem, zamienionym w rodzaj sanatorium, gdzie chorzy leczą chorych.

Program inżynierii błękitnej jest próbą przetworzenia postawy klerkowskiej w światopogląd i przez swą konsekwencję obnaża jej niezaradność, jej oschłą naiwność, jej drugą naiwność, którą osiąga się dopiero po dwudziestu latach studiów. Ta niezaradność wynika ze zlekceważenia „brudnej rzeczywistości". W oczach klerka historia i kultura nie jest wysiłkiem działania pokoleń, lecz rodzajem aktu poznania, schematem, który ma zawierać kodeks postępowania. Intelekt, który nie pamięta, że myśl jest związana fina**lizmem, skierowana** na działanie, **wpada w kulturalne** kazirodztwo, **daje potomstwo,** które nie ma z czego **żyć i słania się** przez życie jak **ktoś, kto nie ma** energii, a jeśli nawet ją ma — **nie wie** jaki z niej należy **zrobić użytek.** Są to istoty naznaczone losem krótkich żywotów.

Klerkizm był nie tylko dramatem intelektualistów, lecz także dramatem inteligencji. Załamanie, które przeżyła elita intelektualna, daje świadectwo możliwościom inteligencji. Tendencje dydaktyczne są próbą obrony, próbą odmłodzenia stanowisk tej grupy społecznej. Próbą odmłodzenia była też wiara w czyn, którą można by nazwać socjologiczną metodą à la Woronow. Czyn miał stanowić o cudownym odrodzeniu energii, miał ją obudzić i skierować. Niewątpliwie, czyn galwanizuje, lecz jest to ruch sztuczny, jak ruch w doświadczeniach Galvani'ego czy Pawłowa, ruch zakreślony na godziny, po których upływie zamiera i wtedy pada wyznanie Garina z powieści Malraux, że za czynem nic się nie kryje.

Inteligencja stoi przed koniecznością społecznej abdykacji — w tym sensie, że musi podzielić się swymi funkcjami kierowniczymi z nowymi warstwami społecznymi, z chłopami i robotnikami. Pozostanie zawsze istotna jej rola, gdy chodzi o czynności specjalizowane. Z tego jednak, że ktoś pisze powieści lub doskonale prowadzi swoje przedsiębiorstwo budowlane, nie wynika sam przez się mandat do sprawowania społecznego kierownictwa. Jeżeli warstwa inteligencka chce swój współudział w funkcjach kierowniczych zachować, liczyć się musi w praktyce humanistycznej z faktem, że człowiek nie jest formą izolowaną, że żyje w środowisku społecznym i że życie, które podlega w ogóle na ścieraniu się kontrastów (romantycy nazywali je demiurgami zła i dobra są to po prostu opozycje przyrody i kultury), tworzy zasadniczy konflikt jednostki i zbiorowiska, wolności i przymusu społecznego. Człowiek bowiem ulega nie tylko czasowi wewnętrznemu, ale i ponad jednostkowemu czasowi historycznemu. Gdyby człowiek był umieszczony tylko w formacji biologicznej, rządziłby nim wyłącznie czas wewnętrzny. Ewolucja humanistyczna, kultura, nie jest dalszym ciągiem po spencerowsku pojętej ewolucji przyrody. Poprzez humanistyczny rozwój człowiek wywalczył sobie pewien zakres swobody. Jak wielki jest ten zakres swobody człowieka wobec konieczności, jak delece humanizm panuje nad przyrodą — oto pytania, które przesycają dziś ludzką świadomość, jak jedwabne włókna tkaninę.

Ta swoboda jest też światem etycznym i stanowi nowy sposób odczuwania Boga. Nowy, bo wyniesiony z burz i zamętów wściekłego stulecia, jakim był wiek XIX, wściekły w pasji burzenia, wściekły przez konflikty, które go rozdzierały. Ale i wielki: wielki w poszukiwaniu ostatecznej sprawiedliwości, w poszukiwaniu Boga.

Można wiek XIX potępiać, można zaprzeczać jego koncepcjom, którym pod koniec sam się zresztą — na próżno — wyrzekał. Ale mówiąc o historii, nigdy nie da się pominąć faktu, że było to stulecie równie wielkie jak nasze jest męczące, jak nasze jest trudne. Choć nie przeklęte: bo zadaniem XX stulecią jest uporządkowanie rewolucji, nie odbudowa ruin, lecz zbudowanie życia.

Włodzimierz Pietrzak

Bolesław Piasecki

ODPOWIEDŹ [1])

Czym jest życie? — Pytanie to było i jest stawiane przede wszystkim jako objaw zadumy. Rzadziej zawiera ono nadzieję znalezienia prawdy. Odpowiedzi na nie zadawalały ludzi lub były przez nich odrzucane. — Zawsze jednak poddawane refleksji wydawały się ubogie i jednostronne.

W zjawisku życia tkwi immanentnie pełnia. Życie zawiera sumę prawdopodobieństw i niemożliwości, harmonii i sprzeczności, które wymykają się wszelkiemu rachunkowi. Życie pozostaje w związkach pokrewieństwa z całym wszechświatem; w związkach tak wielostronnych, że wyliczanie ich staje się bezskuteczną próbą dzielenia nieskończoności. Życie istnieje jako fakt najbardziej codziennego doświadczenia, a jednocześnie jest nieuchwytne jak najbardziej fantastyczna chimera.

Powiedział Św. Tomasz o Bogu, że jest On czymś tak doskonałym, iż my, nędzni ludzie możemy raczej określić czym On nie jest, nie mogąc zrozumieć, czym jest. Podobnie wszyscy ludzie niewierzący w Boga, charakteryzując szczytowy punkt swego poglądu na świat, jakiś wielki ideał ich przekonań, opowiadają jedynie, czym różni się on od doświadczeń zebranych dotychczas. W obu tych sposobach rozumowania doskonałość określa się przez negację braków. Analogia trudności w uchwyceniu określenia Boga, czy najwyższego dobra w systemach ateistycznych i życia stanowi głębię, która domaga się próby wyjaśnienia.

Człowiek, gdy uświadamia sobie po raz pierwszy, że żyje, otrzymuje tylko jedno wytłumaczenie tego faktu — datę narodzin. Początek życia jest nieznany przychodzącemu na świat. Życie dla człowieka zaczyna się nagle — przed tym była nicość. Tenże sam człowiek, myśląc o swej śmierci, ma empiryczne podstawy, aby przewidywać rozkład i zniszczenie własnego ciała, aby wiedzieć, że jego „ja jestem" znajdzie się w chwili zgonu w warunkach bliżej nieokreślonych. W tym ujęciu świat staje się w sposób fascynujący jednocześnie kolebką i cmentarzyskiem ludzkiego życia.

Wydawałoby się przeto całkowicie naturalnym, że najbardziej właściwą atmosferą całego życia człowieka powinien być klimat zdumienia i niepokoju. Życie człowieka jest zawieszone między tajemnicami. Dlatego tak naturalną jest waga pytań z dziecinnego pokoju; pytań najprostszych, „dlaczego", „po co"? Istnieje straszliwa moc prawd, które są odpowiedzią na najprostsze pytania. Od uzyskania i uznania za własną takiej odpowiedzi zależy bowiem rodzaj życia i wewnętrzna swoboda człowieka. Dają one ukojenie lub wtrącają w trwałą rozterkę.

Dwa są źródła naszej naturalnej wiedzy o życiu. Jedno stanowi analiza objawów życia własnego organizmu, obserwacja innych ludzi i bytów. Drugie wykorzystujemy wtedy, gdy zwracamy się do samych siebie z pytaniem, co znaczy „ja żyję".

Objawy życia, doznawane zmysłami, są segregowane i analizowane szeregiem przyrodniczych dyscyplin naukowych. Spotkamy je w świecie wegetatywnym, zwierzęcym i ludzkim. W ten sposób nauka coraz wnikliwiej ustala różnicę między czymś nieożywionym i czymś ożywionym. Badania przyrodnicze starają się rozwiązać problem kompozycji elementów, od powiedzieć na pytanie dlaczego ta kompozycja elementów jest żywa, dlaczego tamta pozostaje martwa? Nie jest paradoksem, ale prawdą, że czynnikiem stwarzającym optymistyczną perspektywę dla tych badań stanowi śmierć. Bo choć nauka przyrodnicza nie ustaliła jeszcze, co trzeba dodać do kompozycji elementów organicznych (różnie nazywanych w poszczególnych stadiach jej rozwoju), aby powstało życie wegetatywne, czy zwierzęce, to jednak nauka zna kompozycje tych elementów bez czynnika ożywiającego. Gdy tylko śmierć dotknie dany żywy ustrój natychmiast staje się on całkowicie dostępny wyjaśnieniom nauki w skali dostępnej danej epoce. Śmierć, będąc niewątpliwym przeciwieństwem życia wegetatywnego i zwierzęcego, pozwala jednocześnie ponawiać próby, odkrycia, czym jest jej zaprzeczenie. Daje możność poszukiwania istoty życia wegetatywnego i zwierzęcego.

Czy jednak śmierć, rozkład kompozycji, koniec związku elementów, jest przeciwieństwem każdego życia?

Wróćmy do człowieka, wróćmy do siebie i rozszczepmy stwierdzenie „ja żyję". Gdy ktokolwiek z nas mówi o sobie w ten sposób, dokonywa syntezy dwóch doświadczeń. Ludzkie „ja żyję" ma dwa znaczenia. Pierwsze z nich jest wyczerpane przez życie wegetatywne i zwierzęce naszego ciała, zarówno jako źródła doznań, jak również jako ich przewodnika i narzędzia. Udział ciała wyznacza zakres doświadczeń, zawartych w stwierdzeniu „ja żyję". — Niewątpliwym przeciwieństwem tego stwierdzenia jest śmierć. Możliwość śmierci naszego ciała znamy empirycznie, obserwując los innych ludzi i rozkładalność ustroju fizycznego człowieka. Nasz ustrój cielesny ma wszelkie cechy zużywalności i każda jego aktywność przybliża jego kres.

Istnieje jednak drugie doświadczenie wewnętrzne własnego życia. Doświadczenie, które stawia znak równania między „ja jestem" a „ja żyję". Przeciwieństwa tego doświadczenia „ja żyję", pojętego jako „ja jestem", nie można nazwać śmiercią — rozkładem. I to dla dwóch powodów. Po pierwsze empirycznie nikt z ludzi nie może o sobie powiedzieć choć raz jeden „mnie nie ma", gdyż jego „ja" zawsze stwierdza swoje istnienie. Po wtóre „ja jestem" nie może podlegać w ogóle rozkładowi, gdyż nie ulega żadnej analizie, stanowi kres każdego podziału. Nie może zatem ulec śmierci, która jest rozkładem. Dlatego przeciwieństwem człowieczego „żyję" jest tylko połowicznie — jako rozkład ustroju fizycznego i kres jego aktywności. Drugim przeciwieństwem „ja żyję" jest jedynie niewiedza na czym polega życie bez ciała.

Jest tezą podstawowej doniosłości, że człowiekowi dane są dwa źródła jego życia. Jednym z nich jest „ja" samo w sobie, drugim ustrój fizyczny. Oba te źródła zespalają się w jednym nurcie. Oba wytwarzają wspólny ruch i współzależne zmiany. Używając analogii — nurt wytwarzany przez oba źródła życia ludzkiego nie jest mechaniczną mieszaniną, lecz związkiem chemicznym. Ta wspólnota jednego nurtu tworzy istotne oblicze człowieka, daje mu wewnętrzne poczucie zespolenia, zazębiania się dwóch różnych pierwiastków biologicznego i psychicznego, określane pojęciem radości życia.

Nie mniej jednak dualizm źródeł życia ludzkiego jest także przyczyną wielu antynomii. Przede wszystkim „ja", będąc zakorzenione w czyste istnienie nie może zaspokoić swojej aktywności, wykorzystywaniem aparatu cielesnego. Ciało jest czynnikiem dostarczającym naszemu „ja" doznań, z których czerpie ono swoje bogactwo. Z drugiej jednak strony ciało jest czynnikiem izolującym nasze „ja" od swoistej kategorii doznań, które by mogło odebrać. Stąd życie samoistne naszego „ja" odbywa się w mroku, nasuwającym mu chęć wyzwolenia, chęć ujrzenia światła. Tak samo aparat fizyczny posiada tendencję, które „ja" niezawsze afirmuje. Są to instynkty, które często stają w sprzeczności z dyspozycjami „ja". Występuje to szczególnie wyraźnie w wypadku instynktu samozachowawczego, który jest koroną tendencji aparatu życia fizycznego, a bywa przez nasze „ja" ograniczany, a nawet przekreślany „Ja" bowiem jest w stanie zatamować źródło życia fizycznego

I teraz powróćmy do podstawowego pytania, czym jest życie? Życie jest konieczną i dowolną zarazem reakcją na rzeczywistość.

Życie jest stosunkiem koniecznym do rzeczywistości. Człowiek musi żyć w sposób ciągły. Tak jak rzeka musi płynąć — tak człowiek musi żyć. Od źródła do ujścia. Człowiek musi żyć — to znaczy musi zaspakajać prymitywne potrzeby przemiany materii, ale także musi doznawać, pamiętać, być świadomym. W życiu jest pierwiastek konieczności, ograniczenia, niemożności wyzwolenia się od potrzeb. Człowiek musi żyć, to znaczy podlega kategoriom czasu i przestrzeni. Ta konieczność właśnie zespoliła czas i życie w pojęciu mijania. Czas w „życiu—konieczności" zwyciężył sam proces życiowy — wszak to życie mija, a czas trwa. Człowiek żyjąc musi spotykać każdą jednostkę czasu i natychmiast się z nią rozstawać. Musi zajmować jakiś punkt przestrzeni i natychmiast go opuszczać. Każdą cząstkę materii przyswaja poto by ją zwrócić. W „życiu - konieczności" jest mus nieustannego brania — dawania Mus wywołujący pracę świadomą lub nieuświadamianą.

Lecz życie jest także stosunkiem dowolnym do rzeczywistości. Po pierwsze same konieczności życiowe są elastyczne w swym zakresie. Można je ścisnąć, choć trzeba wtedy wytrzymywać ciężar oporu. Po wtóre rzeczywistość jest elastyczna w sposób podobny do elastyczności tworzywa, budulca, który ułoży się w każdy pomysł „architekta — życia". Życie jednak musi wtedy przejawiać opanowanie praw statyki i jakości tworzywa. Za przezwyciężenie rzeczywistości, za życie wyzwolone od konieczności płaci się ceną wysiłku świadomego tym razem zupełnie. Aby życie było wolne w stosunku do rzeczywistości, aby nad nią panowało. musi posiąść tajemnicę jej możliwości Nie koniec na tym Człowiek musi nie tylko wysiłkiem życiowym zdobyć świadomość możliwości, które zawiera rzeczywistość Musi on także nowym wysiłkiem przemieniać te możliwości, ze spostrzeżonych w dokonane.

Na czym jednak polega przemienianie możliwości, spostrzeżonych w otaczającym świecie w fakty? Na zwróceniu światu jego wydartej konstrukcji przetworzonej wysiłkiem własnym Stąd należy powiedzieć, że wyzwolone od konieczności życie jest oparte także o proces dawania i brania.

Najbardziej podstawowym dla istoty życia jest proces dawania i brania. Zachodzić on musi w sposób ciągły, bądź jako konieczność wzięcia i oddania treści narzucanych naturą człowieka, bądź jako dowolność polegająca na możności wybrania tego, co ma być oddane i wzięte O ile jednak proces życia jest nieograniczony w nasileniu wymiany treści, o tyle istnieje granica w zakresie samego brania i samego oddawania. Kres życia człowieka nastąpi zarówno w wypadku, gdy weźmie on od rzeczywistości za dużo lub jej za dużo odda Ten proces wymiany rzeczy branych na oddawane jest istotą aktywności życia, jest wyładowaniem i gromadzeniem energii życiowej, łączy życie z ruchem i promieniowaniem.

Można twierdzić, że życie każdego człowieka jest różne gdyż różnym celom służy i różnymi kryteriami bywa oceniane, gdyż istnieją odmienności strukturalne między ludźmi. Wreszcie, ponieważ życie ludzi przebiega w rozmaitych warunkach.

Wszystkie te jednak przyczyny można określić na tym miejscu jako okolicznościowe i dotrzeć do różnicy życia poszczególnych ludzi w samej jego istocie. Okazuje się bowiem, że odmienny bywa zakres życia u każdego człowieka Jedni żyją w sposób pełny, drudzy w sposób częściowy Dzieje się to dlatego, że w każdej cząstce życia jest coś z faktu i coś z możliwości, coś z pąka i coś z kwiatu. Życie człowieka w każdym momencie odtwarza proces swych narodzin, kojarząc go z możliwością śmierci. Każdy moment stwarza okazję nie tylko do stwierdzenia, że żyjemy, lecz że życie nasze możemy wzbogacić lub pomniejszyć. „Jestem żywy" — nie jest tylko opisem posiadania, ale zawiera w sobie możliwość powiedzenia **„fiat" lub „pereat"**, przez które to powiedzenie nasze posiadanie życia powiększy się o nową komórkę lub się o nią zuboży. Życie ludzkie nie jest afirmacją trwania, ale wiązadłem między tym, co jest i co być może. Życie nie jest posiadaniem statytycznym, ale posiadaniem, które się zwiększa lub umniejsza. Życie człowieka jest reakcją na rzeczywistość świata i rzeczywistość samego człowieka. Wzbogacenie życia jest powiększaniem jednoczesnym eksploatacji rzeczywistości świata i własnej rzeczywistości człowieka. Eksploatacja zaś rzeczywistości sprowadza się do odgadywania jej konstrukcji. W istocie procesu życia leży aktywność przetwarzania dwóch rzeczywistości: świata i własnej człowieka. Każde jednak przetwarzanie jest naśladownictwem twórcy. Stąd życie samo w sobie zawiera głód kontaktu, otarcia się o Twórcę samego

Nikomu nie możemy odstąpić swego życia. Samo życie jest niewymienialne. Jesteśmy natomiast w stanie dokonać jego transfuzji, rozszerzyć czyiś skalę życia w możliwościach struktury danego człowieka, wzbudzić w tym człowieku aktywność przetwarzania rzeczywistości własnej i świata Jest to możliwe właśnie przez dostarczenie danemu człowiekowi dostosowanego do jego własnej rzeczywistści i do rzeczywistości widzianego przez niego świata rezultatu eksploatacji dokonanej w jego zastępstwie

Określając życie jako dawanie i branie, zyskiwanie i tracenie, chłonięcie zagadki konstrukcji świata i jej swobodne naśladowanie, natrafiamy na problem proporcji, zagadnienie harmonii i dysharmonii. Stąd powstaje konieczność rozważenia kryteriów oceny, wyłania się zagadnienie wartości.

W świecie...

FRANCJA LAWIRUJE

Koła anglosaskie starają się, by między Francją, Wielką Brytanią i USA doszło do zasadniczego porozumienia w sprawie włączenia strefy francuskiej do Bizonii jeszcze przed 20 stycznia, to jest przed posiedzeniem Rady Kontroli w Berlinie. Francja zgłosiła nieco wcześniej protest przeciwko stawianiu jej decyzjami zapadłymi w Frankfurcie wobec faktów dokonanych. Nie mniej wydaje się prawie pewne, iż Francja ulegnie presji amerykańskiej i przyłączy się do „Bizonii". Charakterystycznym objawem uległości jest skandaliczny artykuł Leona Bluma, przywódcy, SFIO (francuscy socjaliści), w którym ten sędziwy polityk kwestionuje polskość Śląska, żądając jego umiędzynarodowienia, podobnie jak Zagłębia Ruhry. Plotka polityczna głosi, iż USA żąda od Francji dewaluacji franka, w stosunku do dolara, co oczywiście odbiłoby się wysoce niekorzystnie na opłacalności francuskiego pieniądza, a więc na francuskiej gospodarce.

Wewnętrzne sprawy francuskie są równie skomplikowane, co i zagraniczne W rezultacie bardzo burzliwych obrad Zgromadzenie Narodowe wybrało swym przewodniczącym Edwarda Heriota. Zgodnie z obyczajem Republiki wiceprzewodniczącymi winni zostać delegaci największych partii w kolejności ich liczebności. Pierwszym wiceprzewodniczącym winien zostać komunista. Zgromadzenie jednak wbrew sprzeciwom komunistów dokonało innego wyboru w którym komunista Duclos został dopiero trzecim, a komunistka Braun — piątym wiceprzewodniczącym. W tym stanie rzeczy komuniści zrezygnowali w ogóle z kandydowania. W SFIO nastąpił rozłam na dwie grupy: blumoską i jednolitofrontową.

Dla Francji idzie trudny rok.

Przegląd tygodników literackich

Stanowczo za mało pisze się u nas o katolickiej doktrynie społeczno - gospodarczej. Ignorancja na tym odcinku jest przerażająca. W momencie, kiedy powinniśmy być uzbrojeni światopoglądowo, nikt nie myśli o tym, jak przepoić umysłowość polską naszym własnym, chrześcijańskim wzorcem realizacyjnym.

Artykuły rozproszone po czasopismach nie są w stanie nasycić potężniejącego z dniem każdym głodu konkretnych sformułowań. Najlepsze spośród nich powinny ukazać się razem w popularnym i tanim wydaniu książkowym.

Trzeba już raz wreszcie ruszyć z martwego punktu, skompletować społeczne encykliki papieskie, uzupełnić je szeregiem praktycznych i szczegółowych rozważań, tak, żeby nasz model ustrojowy przestał się ludziom kojarzyć z jakąś mistyczną mgłą i galaretą, zrobioną z ogólników, które nic nie znaczą, a w walce są nieprzydatne.

I niech nam nikt nie mówi o braku materiałów. Z tego co już ogłoszono, można by skomponować doskonały tom. Myślę, że nawet niejeden. O tych zagadnieniach pisał ks. Piwowarczyk, pisał Łubieński, Rakowski i Braun. W ostatnim numerze „Tygodnika Warszawskiego", podejmuje ten pasjonujący temat znakomity ekonomista dr Kazimierz Studentowicz, w artykule zatytułowanym: **„Siła chrześcijaństwa":**

„Radykalizm doktryny chrześcijańsko - społecznej nie przemawia do naszych ideowych przeciwników. Jedni dość uczciwi, aby przyznać, że doktryna ta jest skrajnym zaprzeczeniem kapitalizmu, stawiają jej zarzut utopijności, zarzut bezprzedmiotowy; nie wiadomo bowiem, dlaczego np. trudniejszym miałoby być upowszechnienie własności czy dopuszczenie pracowników do udziału w zyskach, niż całkowite zniesienie własności prywatnej, lub dlaczego bardziej utopijna miałaby być kontrola zużycia dochodu społecznego od reglamentacji spożycia".

* * *

Wielka bomba pękła na pierwszej stronie „Nowin Literackich". Jan Brzechwa ogłosił tam swe gorzkie i alarmujące przemówienie, wygłoszone na ostatnim Zjeździe ZZLP, o solidarności zawodowej, w którym oskarża zarówno państwo, jak i literatów o szkodzenie interesom własnym.

Autor pisze m. in.:

„Ale wszelkie idylle, tak jak kobiety, z upływem czasu wymagają zabiegów kosmetycznych. Tych zabiegów poskąpiły literaturze powojennej zarówno władze państwowe, jak i wydawcy, zarówno prasa, jak i konsumenci. Rynek wydawniczy stopniowo nasycił się. Zapowiadane upowszechnienie kultury utknęło w ślepym zaułku. Zaczęły się rozlegać głosy, jaka to literatura być powinna, aby mogła spełnić swoje zadanie wobec szerokich mas. Zapomniano, że szerokie masy przedtem trzeba wychować, gdyż nie z własnej winy, nie nawykły one jeszcze do normalnej konsumcji literatury. Zapomniano też i o tym, że książka po dziś dzień nie dociera do mas, również nie z ich winy ale i nie z winy pisarzy. Po prostu nie wydostaje się jeszcze poza rogatki wojewódzkiego miasta. Niemniej jednak odpowiedzialnością za te wszystkie mankamenty opinia chętnie obciążyła literaturę współczesną, potem pisarzy osobiście, a w końcu i pisarze przyłączyli się do tego obstrzału, rzucając w samych siebie pociski rozmaitego kalibru".

Dobrze zapyta ktoś, ale co robi zamówienie społeczne? Czy wpłynęło ono na zwiększenie tempa i żywotności literatury?

Brzechwa taką daje odpowiedź:

„Zażądano od literatów, aby uczestniczyli w życiu publicznym poprzez akcję oświatową, charytatywną, społeczną i polityczną. Gdy ulegli temu naporowi postawiono im zarzut, że nie piszą, albo że piszą za mało. Gdy szukali odosobnienia, aby oddać się pracy pisarskiej, potępiono ich za to, że się izolują i zrywają kontakt z życiem. I znowu żądano od nich wieczorów autorskich w szkołach i fabrykach, udziału w organizacjach społecznych i wystąpień politycznych. Sytuacja pod nazwą „Młynarz syn jego i osioł" zamknęła się w krąg, z którego trudno wybrnąć".

Następuje: Aluzja do Żółkiewskiego oraz zaczepka pod adresem Kotta.

„A tymczasem wciąż jeszcze poganiacze literatury, wykoślawiając pojęcie realizmu społecznego, domagają się dzieł aktualnych, które w trybie przyśpieszonym sławiłyby odbudowę, nowe autobusy warszawskie, albo naprawioną turbinę elektrowni. Erenburg na postawione mu w tym sensie pytania wyjaśnił naszym gorliwcom, jaka jest różnica pomiędzy pracą twórczą pisarza a fabrykacją obuwia maszynowego.

To powszechne, niepisane prawo, pozwalające pierwszemu lepszemu przechodniowi na poklepywanie literatury, doprowadziło do utworzenia niewidzialnego frontu lekceważenia i wrogości.

Po rozbiciu solidarności zawodowej literatów, rozbito literaturę na poszczególne gatunki i każdy z nich napadnięto z osobna. Również i do tej walki dali się wciągnąć sami pisarze. Jan Kott zaatakował polską prozę współczesną. Po prostu przekreślił jej wartość, sens i znaczenie. O podobnym wystąpieniu powiedział niegdyś Sałtykow Szczedryn: „Niechaj przeklęta będzie ta gęś, która dała swe pióro do napisania takiego artykułu".

Z kolei dostaje się miarodajnym czynnikom:

„Przed wojną państwo nie troszczyło się zbytnio o literaturę. A i dziś jeszcze solenne zapowiedzi pozostają bez pokrycia. W porównaniu z sumami łożonymi, na przykład na sport, sztuka polska ciągle jeszcze jest Kopciuszkiem. Sport bije literaturę co najmniej w takim stosunku, w jakim nasi sportowcy przegrywają do swoich zagranicznych kolegów. Niechęć do literatury i pisarzy, podsycana przez krytykę literacką i nieprzychylną famę udzieliła się najwyższym nawet dygnitarzom państwowym. Jeden z nich w prywatnej rozmowie wyraził pogląd, że literatura współczesna jest pod psem i, że najlepiej było by zatrudnić literatów przy rozbiórce gruzów. Trudno orzec, czy ten pogląd podziela większość członków rządu, czy też jest to tylko indywidualna wypowiedź jednego z nich. Niemniej jednak słyszymy częste zarzuty, że zawiedliśmy pokładane w nas nadzieje i pomimo upływu trzech lat, nie wypełniliśmy zadań, które nam wyznaczyło zamówienie społeczne.

Słyszymy, że dotychczasowe subwencjonowanie literatury nie dało oczekiwanych wyników. Żąda się od pisarzy, aby pracowali na zasadzie drobiu, czyli codziennie jajko; bo inaczej szkoda prosa. Na tej podstawie odmówiono pisarzom praw ludzi pracy, odebrano im uprawnienia, z których korzystają wszyscy urzędnicy, cofnięto ulgowe stawki opłat za gaz, elektryczność, radio i poniemieckie meble, cofnięto kartki żywnościowe, odmówiono ulg na kolejach i w hotelach miejskich. W wielu urzędach państwowych i samorządowych odmowom towarzyszy oświadczenie, że ulgi są tylko dla świata pracy. Pisarzy z tego świata wyeliminowano".

Cóż robić! Minął złoty wiek Peryklesa.

Państwo nie jest zadowolone z produkcji literackiej obywateli.

Państwo to znaczy: kto?

Proszę wyraźnie powiedzieć. Pretensje Kotta czy Żółkiewskiego nie są wyrazem pretensji ministerialnych. Tego możemy być pewni. Ale mniejsza z tym. Prawdopodobnie chodzi o dąsy kilku urzędników. Bądźmy szczerzy. Biurokracja zawsze miała na pieńku z muzami. Sztuka reprezentuje żywioł sceptycyzmu, demaskuje fałszywy patos, ukazuje to co jest dęte w doktrynie. Dlatego budzi obawę. Nie u ministrów rzecz prosta. Ci nie lękają się konfrontowania idei z rzeczywistością. Prawdziwym mężom stanu artysta może tylko pomóc, on bowiem najwcześniej obnaża te miejsca, gdzie ustrój kłóci się z potrzebami ludzkimi. Nie ma reform społecznych bez wielkiej i twórczej satyry. Sabez wielkiej i twórczej satyry.

Fakt ten napełnia, być może, pewną nieufnością małych dygnitarzy. Tacy zawsze będą woleli lichą propagandę od znakomitej literatury. Kto myśli inaczej — niech wskaże nam choć jeden panegiryk, który przetrwał rządzące figury. Apoteozy ustrojowe w sztuce zawsze wychodzą fałszywie. „Giną śmiercią śmieci".

Ale wróćmy do rozważań Brzechwy. Znakomity publicysta bierze z kolei pod prysznic... wydawców .

Pisze:

„Jeśli rok temu na zjeździe literatów wyraziłem niepokój co do pewnych praktyk wydawców, już nie w odniesieniu do planu wydawniczego, ale w stosunku do pisarzy, to teraz muszę uderzyć na alarm i oświadczyć, że sprawy te uległy znacznemu pogorszeniu. Najpoważniejsze zdobycze, które poprzez konwencję berneńską i ustawodawstwo autorskie na przestrzeni dziesiątków lat wywalczył sobie świat literacki, — zdobycze, które są wyrazem postępu i zwycięstwa pracy nad kapitałem, dziś, w tym najprzychylniejszym dla pisarzy ustroju, ograniczane są przez wydawców bez żadnych hamulców i skrupułów. Obniżono stawki honorariów autorskich z 15% na 12, 10 i nawet na 8%, a niewiadomo dokąd jeszcze ta tendencja zniżkowa zaprowadzi".

To jest rzeczywiście... granda. Do tego trzeba się wziąć i to zaraz. Ale a propos: Dlaczego pisarze sami nie stworzą sobie spółdzielni wydawniczej? Taka myśl kiedyś istniała. Obywatele! Wykażmy trochę inicjatywy społecznej. Nie dajmy się zjeść w korcu maku. Rzucam hasło: Co zarobimy to dla nas!

Dużo jest dobrych rzeczy w zacytowanym tutaj artykule. Jedno tylko wyzwala zasadniczy sprzeciw. Autor twierdzi, że starcia pisarzy na płaszczyźnie ideologicznej nie wzmocniły bynajmniej autorytetu naszego zawodu. To zacieranie istotnych różnic światopoglądowych w imię jakiejś nadrzędnej solidarności zawodowej nie wydaje nam się pomysłem szczęśliwym. Niech sobie nikt nie wyobraża, że wzrost zainteresowania losami książki uzależniony jest od wytworzenia jakiejś fałszywej i nudnej idylli dookoła autorów i dzieł.

Doświadczenie historyczne mówi, że w okresach najwspanialszego rozwoju literatury, było wręcz przeciwnie. Atmosfera walki towarzyszyła największym talentom. Nie co innego, lecz właśnie wielki spór, stanowi najlepszą gwarancję poczytności książki.

„Wiadomości Literackie" wiedziały o tym najlepiej. Rozgłos Boya, poprzedziły i przygotowały mocne i coraz mocniejsze ataki.

Popisy fanatycznego sekciarstwa muszą się spotkać z uczuciem odrazy moralnej. Czuje to dobrze Brzechwa, nawołujący do tak niemodnego dziś obiektywizmu w ocenie dzieł literackich:

„Nie należę do grupy „Kuźnicy", ale nie poważyłbym się negować talentów, roli i znaczenia pisarzy tej miary co Brandys, Rudnicki i Ważyk.

Z drugiej strony mogę wyjawić, że nie jestem spokrewniony z obozem katolickim. Można by mówić najwyżej o powinowactwie, które, jak wiadomo, powstaje przez małżeństwo. Ale czułbym się w obowiązku stwierdzić, że i w tym obozie są pisarze, których wkład do literatury trzeba uznać za wartościowy i cenny.

Musi istnieć minimum obiektywizmu w ocenie utworu literackiego i pewnej granicy nie należy przekraczać".

* * *

Zaglądamy do „Odrodzenia". Są nowe wiersze Miłosza. Najlepszy utrafia w rytm znakomitej „Grenady" Świetłowa. Nazywa się „Przypomnienie". Tytuł chroni tu przed zarzutem epigonizmu, dowodzi, że wzór został obrany świadomie.

Tak jest. Poezja nawracająca do źródeł ludowych musi stać się towarzyszką pieśni. W masach żywy jest głód melodyjnego słowa. Wystarczy porównać zręczną trawestację Miłosza z jego oryginalnymi strofami, by zdać sobie sprawę z olbrzymiej i skomplikowanej drogi, jaką przebywała liryka wyzwolona z pod uroków chóralnego śpiewu, zmierzająca w kierunku beznamiętnego wyrafinowania. Nie ma tu mowy uczuć. Jest tylko gra wyobraźni. Wizjonerstwo monumentalne. Marmurowy neoklasycyzm. Kiedyż zaczniemy odróżniać widzenia od wzruszeń, które zostały wygnane?

W poezji naszej rozrasta się obsesja ruin. Upiorna statyka naładowana śmiercią. Cóż innego zrodzić mogła epoka lodowcowa serc... zamierających? To nie zarzut. To tylko diagnoza, zakończona cytatą maleńką:

„Kiedy umiera ktoś we wnętrzu róży,
Długim pochodem sfałdowanych płaszczów
Niosą go z góry drogą purpurową
W pieczary płatków świecą pochodniami
I pogrzebany będzie w nietykalnym
Początku barwy, pod źródłem westchnienia
We wnętrzu róży".

W takiej atmosferze nawiedzają człowieka pokusy ze wszystkich stron świata. Odzywa się znowu stary J. J. Rousseau.

* * *

Stanisław Gogłuska pisze w rubryce: Życie literackie we Francji, że:

„Les Nouvelles Littéraires" ogłosiły wyniki konkursu, rozpisanego wśród czytelników w lecie bieżącego roku na temat: „Jakiego bohatera powieściowego pragnąłby pan(i) uosabiać i dlaczego?"

20% czytelników wymieniło Robinsona Cruzoe. Po nim idzie tytułowy bohater powieści Alain Fourniera — „Le Grand Meaulnes", na dalszym zaś planie ex aequo d'Artagnan i Julien Sorel. Redakcja pisma wyciąga z tego wniosek, że czytelnik dzisiejszy szuka w literaturze „ucieczki" od życia rzeczywistego. Nie wiem, czy nie wypadałoby tego wniosku skorygować, gdyby w konkursie mogli wypowiedzieć się nie tylko czytelnicy pism literackich, interesujący się szczególnie literaturą i kupujący te pisma, ale i człowiek pracy. W tej chwili konkurs daje wyraz pragnieniom i upodobaniom tylko publiczności „inteligenckiej".

Komentując wyniki konkursu, czołowy krytyk „Les Nouveles Littéraires" Raymond Las Vergnas pisze o aktualności Robinsona. Zdaniem jego czytelnik szuka symbolu życia prostego i szczęśliwego, „bez podatków, systemu kartkowego i cieniów groźby wojny atomowej". Wielu czytelników w swoich wypowiedziach mówiło o „drzwiach otwartych na przygodę".

I cóż na to nasi realiści?

Nie ma się co łudzić. Wszyscy mają już dość rzeczywistości, niewolniczo kalkowanej w sztuce. Sztuka jest środkiem służącym do przezwyciężenia morderczej monotonii bytu. Istnieje poto, żebyśmy mogli wyskoczyć ze skóry i powierzyć się innym wymiarom.

ś. † p.

MIECZYSŁAW NIKLEWICZ

wieloletni wydawca „Gazety Warszawskiej" b. więzień X pawilonu Cytadeli Warszawskiej

Opatrzony Św. Sakramentami zmarł w Drozdowie, pow. łomżyńskiego, dn. 5.I.1948 r., przeżywszy lat 67.

Pogrzeb odbył się na cmentarzu parafialnym w Drozdowie we czwartek dn. 8.I.1948 r., o czym przyjaciół i znajomych zawiadamiają

ŻONA, DZIECI, WNUKI I RODZINA

Aleksander Błachnio

„W NIEZNANE"

(Fragment)

Fragment powieści znanego już czytelnikom „Dziś i Jutro" Aleksandra Błachnio, osiedleńca na Mazurach, który wyemigrował spod Garwolina, jest tak ciekawy w swoim autentyzmie, obrazującym nastroje wsi polskiej, iż mimo specyficznej formy, zrozumiałej u autora samouka, nie wahamy się przedstawić go naszym czytelnikom.

Piotrowi tak już dało się we znaki to życie niepotrzebnego we wsi człowieka, że chwilami sam nie wiedział już co się z nim robi, ani też co ma z sobą robić. Po krótkich chwilach jakiego takiego ożywienia znów atakowała go melancholia, rozpacz, zniechęcenie i naprawdę, kto wie, co by mogło nastąpić, gdyby nie tych troje małych brzdąców?!..

Zaczął już nawet stopniowo oswajać się z myślą o tym... I chociaż ze strachem i boleścią, ale jednak nieuchronność takiego zakończenia coraz częściej stawała mu przed oczyma, nabierała najbardziej realnych kształtów.

Ile to razy Piotrowa już naprawdę była przerażona jego półgębkiem wypowiadanymi słowami. Nieraz, gdy długo skąd nie wracał, nie mogła oka zmrużyć i do pierwszej i drugiej w nocy, pod byle jakim pozorem chodziła po chałupie, wyglądała oknami, wychodziła na dwór, nasłuchiwała w skupieniu. Gdy wreszcie usłyszała jego charakterystyczne powolne kroki człowieka już prawie zrezygnowanego — ożywiała się. Wprost inne życie wstępowało w nią. Gotowa by mu nieba przychylić. Nie wiedziała wprost jak ma się nim nacieszyć, jak go obsłużyć. Jak mu tę skromniutką kolacyjkę podać. Czym omaścić by jeszcze tę kartoflankę z pieprzem i cebulą. Bo słonina, to rzadki gość w Piotrowej chałupie, a odrobiny śmietany ruszyć nie wolno, bo tyle potrzeb na nią patrzy.

Także owej dosyć ładnej lutowej nocy 1946 roku. Piotrowa nie mogła się doczekać jego powrotu. Już dwunasta minęła i pierwsza za pasem, a jego jak nie ma, tak nie ma.

— Czyżby go złe opętało? Boziu ratuj!...

Różne myśli już jej przez głowę przelatują. I ciepło jej się robi i zimno. I w głowie się chwilami kręci od tego wszystkiego. Taki, dzisiaj poszedł zdenerwowany. Wcale nie miał chęci nigdzie już iść. Wczoraj nie starczyło mu roboty do wieczora. Na dzisiaj nikt go nie zamawiał. A iść od chałupy do chałupy i wmawiać się do jakiej partaniny — jemu śmierć. Wolałby kamienie zębami gryźć, dwa miesiące kartofle kopać.

Ale te dzieci. Ta nieuchronna konieczność dostarczenia im chleba.

Piotrowa już nie wiedziała jak żyje na świecie. Brakło jej odwagi i sumienia wprost ciągle go podniecać i zachęcać.

— Piotruś, ja wiem, że wolałbyś nie wiem co, ale cóż poczniem? Jak inaczej zrobim? Ostatni kawałek chleba dzieci zjadły na kolację. Dzisiaj cały dzień będą płakać.

Przypominają się Piotrowej jej ranne straszne słowa i teraz je sobie wyrzuca całym sercem. Toć jeżeli nie znalazł jakiej roboty, te słowa mogły go z równowagi wyprowadzić i ostatecznie dokończyć dzieła... Żałuje ich więc jak najstraszniejszego grzechu i po raz niewiadomo który przyrzeka sobie, że więcej go już nie będzie dopędzać.

— Może go już do nieszczęścia doprowadziłam?! Ale jak zrobić inaczej; jak zrobić; jak zrobić?! Boziu ratuj! Jak inaczej pokierować. Daj mu o Matko Najświętsza jakieś stałe zatrudnienie. Bo inaczej... Jak my będziemy żyć? I to ma trwać tak całe życie. A w czym my będziemy chodzi, jak się z łachów wydrzemy? Jak okryć i wychować dzieci? Boziu, cóż począć?! Ale żeby on chociaż wrócił. Bo jakżeby nie daj Boże, jeszcze gdzie się stracił i to przeze mnie.

Piotrowej zimno się naraz zrobiło i już miała wracać do chałupy, kiedy wydało się jej, że ktoś gdzieś zakasłał. Zasłuchała się znowu i wreszcie z narastającą znów uciechą szepnęła:

— Chyba że idzie?!

Posłuchała dłużej i wreszcie nieodwołalnie poznała jego kroki. Pocichutku otworzyła drzwi, weszła do izby, zamknęła i zasunęła zasuwę. W mig rozebrała się i poszła spać. I kiedy drugi raz dopiero zastukał; zapytała „kto tam?" — i poszła otworzyć. Musiała udawać zaspaną, boć tyle razy już ją skrzyczał, że nie idzie spać, tylko tłucze się po nocy i diabli wiedzą czego psuje sobie nerwy?

Wszedł i zaraz usiadł ciężko na ławie, wyciągnął nogi przed siebie, rozprostował się cały i dopiero gdy odpoczął chwilę, powiedział stanowczo:

— Zabij mnie a więcej już na wyrobek nie pójdę. Już wolę iść na kolej, bodajże za te dwadzieścia złotych robić, a nie chodzić i dziadować o ten dzień marnej roboty i kawałek chleba. Już całkiem zresztą nie ma gdzie. Bo czyż dziad, może pożywić dziada?...

— To i idź Piotruś. Trochę musi chleba dają, trochę margaryny, śledzi, jeszcze tam coś. Ja wezmę więcej kądzieli, noc jeszcze wielka, można naprząść. I jakoś będziemy. A ty będziesz chociaż trochę spokojniejszy i zdrowszy. Te osiem godzin przerobisz i wolny.

— A wiesz gdzie dzisiaj byłem? Aż na Przesmyku. Dziesięć kilometrów. I zarobiłem na kilo chleba. Za cały dzień i wieczór. Bliżej już mnie nikt nie potrzebuje. Tam też może jeszcze ze dwa dni, najwyżej trzy. I jaka robota? Cały dzień młocka, a przy latarce narżnęliśmy sieczki na jakie dwa tygodnie. Krzyż mało mi nie pęknie.

— Idź Piotruś na kolej, bo ty się zamordujesz i kto będzie dzieci chował?!

— Pewnie że pójdę. Może nawet i zaraz jutro trzeba pójść do zawiadowcy i do torowego.

— Będziesz co jadł?

— Nie Kazia, jeść mi się nie chce. Napiłbym się czegoś, jeżeli co jest.

— Mleka jeszcze trochę stoi, to ci wleję.

— A z czym śniadanie ugotujesz?

— Oj, napij się, na śniadanie się udoi.

— To szczęście mamy jeszcze, że tą krowę udało nam się złapać. Gdyby nie ona, jeszcze lepiej przez palce byśmy gwizdali.

— Dobra krowa. Po gołej słomie, jeszcze tyle mleka daje. Jak na zeszły jarmark, jeszcze kilo i dziesięć deka masła zrobiłam.

Podała mu mleko i siadła naprzeciw, patrząc mu w oczy i starając się odgadnąć jego myśli.

Roześmiał się.

— Chybażeś mnie z rok nie widziała?!

— Cały dzień Cię przecież nie było...

— Co dzień, to nie rok.

— Oj, Piotruś, takiś zawsze dziwny...

— No, już dobrze; chodź tu, usiądź przy mnie. Nie denerwuje się na próżno. Bo widzę, że niedługo gotowa byś się rozpłakać.

Odsunął się na drugi koniec ławki, ona w mig usiadła koło niego i przytuliła nieśmiało.

Wypił jednym tchem cały garnczek mleka, przeciągnął się. Odetchnął głęboko. Zrobiło mu się wyraźnie lżej. Spojrzał jej w oczy, wyciągnął ręce, posadził ją sobie na kolanach, przycisnął z całego serca.

— No, masz, całuj ile wlezie. Użyj za cały tydzień.

Piotrowa nie dała sobie tego powtarzać. Wykorzystała w pełni upoważnienie, ale i zaraz uciekła z kolan.

— Jeszcze dzieci się pobudzą! — powiedziała.

— Wiesz ty, my sami jak dwoje małych dzieci.

— Czy nam tak źle z tym?

— Chyba że lepiej. Gdyby nie tak, już bym pewnie dawno swój pusty łeb pod parowóz podsadził. A tak, choć człowieka to cieszy, że w domu spokój i zgoda, ani też żadnych wyrzutów.

— A za co? Zato chyba, że robisz jak dziki osioł i zdrowie marnujesz. Że trudno, nie ty jesteś winien, tylko takie czasy. Któż ma dzisiaj tak bardzo znowu dobrze. Wojna i zaraz po wojnie. Aby przeżyć jakoś. A jak się trochę poprawi, to i zarobków nie zabraknie. Na takie zniszczenie. Niech tylko się zaczną jakieś roboty. Może i nam słońce jeszcze zaświeci.

— Kazia, wiesz co ci powiem: wolałbym naprawdę na swoim pracować, aniżeli całe życie pod czyimś obuchem. U siebie nie krzywda by była i od świtu do północy tyrać. Bo dla siebie. Zaraz inna jest do tego chęć. A dziś? Cały wieczór nakręciłem się przy tej sieczce. I co? Chłop będzie miał spokój ze dwa tygodnie, a ja — jutro od nowa znów komuś piłuj, żeby miał ze dwa tygodnie spokoju. Na trzeci dzień znów to samo i znów; i tak wciąż w koło Macieju, w koło. A w domu jak bieda była, tak i wciąż będzie. Boć który wyrobnik doszedł kiedyś do czegoś.

— Ja wiem Piotruś, ale co zrobić. Taki już widać nasz los. Czy my możemy coś na to poradzić?

Z prasy emigracyjnej

REFLEKSJE POLITYCZNE

Poniżej umieszczamy urywek artykułu Mariana Seydy, drukowany w piśmie „Przewodnik Katolicki", wydawanym w Ameryce. Jest on ciekawym materiałem, obrazującym poglądy polityczne emigracji — „nieprzejednane" stanowisko jednych, którzy gotowi są nawet współpracować z Niemcami i odmienne poglądy drugich. Do tych ostatnich należy i Seyda.

Ciekawa jest ocena szans „III wojny", w tej części emigracji. Wprawdzie Seyda fałszywie równoważy tendencje wojenne rządów Rosji i USA, nie mniej zdaje sobie sprawę, co jest rzeczywistością, a co „wishful thinking".

Czytelnik wysuwa z natury rzeczy zawsze pytanie: jeżeli się tak zaostrzają stosunki między dwoma blokami, jak bez przerwy donosi prasa z terenu międzynarodowego, czy w takim razie będzie trzecia wojna, czy jej nie będzie? Odpowiedzi bezwzględnej nikt z poczuciem odpowiedzialności i sądem spokojnym dać oczywiście nie może. To tajemnica bardzo nielicznego grona po jednej i po drugiej stronie. Nam, „zwykłym śmiertelnikom" wiadomo na przykład że wojny nie życzą sobie, że jej są zdecydowanie przeciwne narody i rządy Wielkiej Brytanii i Francji, i że z ryzyka wojny zdają sobie sprawę czynniki kierownicze zarówno Stanów Zjednoczonych, jak Związku Sowieckiego; a jednak sytuacja polityczna może dojść do takiego stanu absurdalności, i przeciwieństwa ekonomiczne mogą stać się tak jaskrawe, że wybuch nastąpi mimo wszystko.

Jeżeli on jednak nastąpi, to na pewno jako „ultima ratio" jako konieczność ostateczna. Od tego odbiega radykalnie myśl tych Polaków, którzy są na swój swoisty sposób „wishful thinking". W tej mierze dochodzi do objawów fanatycznych.

Słyszałem na przykład z ust prononsowanego piłsudczyka, pracującego na niwie historycznej, cały szczegółowy wywód, że nie tylko Amerykanie „czekają niecierpliwie na moment", w którym zaatakują Sowiety, podczas kiedy Anglicy i Francuzi są tak „tępi", że się wojny boją, nic widocznie nie rozumiejąc jej błyskawicznego tym razem charakteru ale nadto, że o wybuchu wojny dowiemy się w „pół godziny po fakcie dokonanym", to znaczy po położeniu „jedną jedyną" bombą atomową „kresu istnieniu Związku Sowieckiego i w ogóle Rosji".

Znane są wynurzenia przedstawicieli wojskowości amerykańskiej na temat decydującego w przyszłej wojnie znaczenia pierwszego ataku nowoczesną bronią; ale od tego do dzieła wyobraźni w postaci ni mniej ni więcej „zlikwidowania" Związku Sowieckiego „jedną jedyną" bombą atomową — droga dość daleka. Byłoby rzeczą pożądaną, by nawet nasi „cywilni strategowie" trzymali na wodzy bujną swą fantazję militarną i pozwolili ludziom chodzić jeszcze po ziemi, sami ziemskimi szlakami też nie gardząc.

Inne refleksje nasuwają się, jeżeli chodzi o sfery piłsudczyków, zajmujących się nie tyle „strategią atomową", ile raczej politycznym planowaniem. Uderza, że rozwój zmagania się wzajemnego mocarstw zachodnich i Związku Sowieckiego o sposób rozwiązania problemu niemieckiego i wpływy w przyszłości jednej czy drugiej strony w środkowej części Europy, zamieszkałej przez naród niemiecki — że ten rozwój wypadków wskrzesza w umysłach piłsudczyków nadzieje, iż da się zrealizować program współpracy Polski z Niemcami. Bo — jak mówi przysłowie francuskie — wraca się zawsze do swojej pierwszej miłości, chociażby się było — dodajmy — zaznało w niej ciężkich zawodów.

Ale ta współpraca polsko - niemiecka musiałaby być wpleciona w jakiś większy system polityczny, mający wpływ decydujący na losy Europy. Kto wchodziłby zdaniem wspomnianych czynników w rachubę? Rosja oczywiście nie. Wielka Brytania wobec gorzkich ostatnich rozczarowań także nie. Raczej Francja. W „Orle Białym" z 25 października, w artykule dr. Tytusa Komarnickiego, czytamy, że zagadnieniem istotnym dla przyszłego układu stosunków politycznych w Europie jest „próba znalezienia formuły współpracy między trzema wielkimi narodami kontynentu: Polską, Francją i Niemcami!"

Tylko, że do tej próby nie pali się ani naród polski ani naród francuski, i nie dowiadujemy się ani jednym słowem, czym by Polska za tę formułę miała Niemcom zapłacić, boć nikt chyba nie oddaje się złudzeniu, że Niemcy poszliby na współpracę z Polską — za darmo. Prawdopodobnie nie wystarczyłyby im nawet ziemie świeżo przez Polskę odzyskane; powrót Prus Wschodnich do Niemiec wznowiłby ich żądania zaborcze, godzące w Pomorze nadwiślańskie i Gdańsk, którym łatwo towarzyszyłyby inne pretensje w przestrzeni śląskiej. Francuzi wiedzą także, jakiej ceny zażądaliby Niemcy za współpracę z Francją.

Więc projekt ów „współpracy między trzema wielkimi narodami kontynentu", jest w rzeczywistości nałogowym nawrotem do złudy, za którą Polska w przeszłości dalibóg dosyć już zapłaciła. Czas by było, żeby piłsudczycy tę złudę wybili sobie gruntownie z głowy. A czy dla swych nadziei na wschodzie mają po stronie anglosaskiej jakiekolwiek realne podstawy? Jak dotąd nic o tym nikomu nie wiadomo.

Szczególnie refleksje budzą się gdy się owo poszukiwanie przez pewnych polityków polskich formuły współpracy z Niemcami zestawi z rzeczywistością obecnej sytuacji międzynarodowej. O ile narody europejskie z trzeźwą ostrożnością odnoszą się do nadmiernego przyśpieszenia tempa odbudowy gospodarczej Niemiec, by ona nie zdystansowała odrodzenia się ekonomicznego innych narodów europejskich, mianowicie tych, którym Niemcy narzuciły niszczącą wojnę i okupację, o tyle w Ameryce kładzie się specjalny nacisk na możliwie wielką pomoc dla Niemiec przy realizowaniu planu Marshalla. Potwierdza tę prawdę znany czytelnikom raport komitetu Herrimana, który wychodzi z założenia większej wagi Niemiec dla gospodarki europejskiej od każdego innego kraju Europy i stawia Niemcy w sprawie pomocy amerykańskiej nawet przed Wielką Brytanią i Francją.

Dr Marian Seyda

— A ja bym spróbował go zmienić, żebyś ty tylko chciała.

— Znów się pieklić o te pięć morgów. I znów nic z tego nie będzie; pieniędzy na adwokatów nie mamy.

— Daj spokój tym pięciu morgom. Już my ich nie wyrwaliśmy i nie wyrwiemy. Byłaby to zresztą głupota zabijać się o ziemię dziś, kiedy na zachodzie jest jej tyle, że trawą zarasta. I gospodarstwa — cacka.

— No tak, wymarnujesz się ze wszystkiego, pojedziesz, jeszcze głowę gdzie wsadzisz, a ty, Kaźmira morduj się z dziećmi. Albo wygnają bez niczego i co wtedy?

— Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Ludzie odważyli się, pojechali. żyją jakoś i ani myślą powracać.

— Ilu już wróciło? Niemców, podobno, na gospodarstwa przywracają, a Polaków — fora ze dwora.

— Głupstwa ci ktoś naplótł, a ty frajerka słuchasz i wierzysz. Czy ty wiesz naprawdę czego oni wracają? Wyszabrowali co się dało, teraz już się to skończyło, trzeba się wziąć za robotę, a tu jakoś nie wychodzi, więc już lepiej — do Centrali z powrotem.

— Łatwiej ryzykować gospodarzowi, co ma się za co złapać, ale my — możemy stracić wszystko.

— Kto nie ryzykuje, w kozie nie siedzi. Chodź, narazie idziemy spać. Jakoś to będzie. Zobaczymy! Co ludziom, to i nam.

— I ty byś naprawdę pojechał? Ja myślę, że lepiej siedźmy na miejscu.

— A ja ci mówię, że lepiej jedźmy. Prędzej może do czegoś dojdziemy. I aby tylko zebrała się grupa — jadę z nimi.

— A chałupa? Drzewka. Tyle się ich nasadziłeś?!

— Chałupę musielibyśmy chyba sprzedać, boć i na drogę nawet nie mamy i na życie tam trzeba. A drzewka? Dla tych paru drzewek nie będziemy marnować sobie życia

— Wygnają nas, nawet nie będziemy mieli do czego wrócić.

— Mówiłem ci już raz: kto nie ryzykuje... I tu też nie ma sensu siedzić. Całe życie być tym parobkiem i kłaniać się byle komu, co ma trochę mniej dziurawą kieszeń i może sobie pozwolić przy byle okazji wypić butelkę... Wiesz, jak ja nienawidzę pańszczyzny. I tak; albo — albo. Albo będziemy ludźmi, albo już przegramy na całkiem i wtenczas nie będziemy się już mieli na co oglądać. Tylko że — myślę iż nie będzie tak źle.

— Oj, Piotruś, mówię ci że się wygłupisz!

— Świat nie torba! I w więzieniu ludzie żyją. A mamy co nawet tego raju żałować.

— Narobimy sobie tylko bidy.

— A co, nasze dzisiejsze życie nazywasz rajem?

— Tak całkiem źle jeszcze nam nie jest. Trochę ty zarobisz, resztę ja na kądzieli; trochę na wiosnę przy pieleniu. Kartofli nam wystarczy swoich. Krowę mamy. Ludzie i gorzej jeszcze żyją.

— Kazia, daj ty mi spokój z twoim rajem. Czy tylko do tego jestem zdolny, żebym po cudzych stodołach nad głową sobie kijem wywijał. Zresztą i to się kończy. Ludziom lepiej się opłaca młócić młockarnią. Taniej ich to kosztuje.

— A czy tu nie zaczną się jakieś roboty? Nie będzie można zarobić?! Tymczasem idź na kolej. Jakoś przeczekać to najgorsze. A później — jakoś będzie. Wywłóczyć się w świat, daleko od swoich, w razie czegoś, i ludzie o nas zapomną i Pan Bóg. Idź na kolej!

— Nie! Ja nie będę umiał pani torowej po rękach całować, ani rąbać jej drzewo do kuchni po fajerancie.

— To rób zresztą jak chcesz, tylko — nie graj Wojtek, abyś nie przegrał portek. Bo może i tak nam wyjść, że i na torby nas stać nie będzie?!

— Lepiej już nie denerwuj mnie i siebie. Bo my jesteśmy i tak skazani na zachód. Tak być musi, a co ma wisieć — nie urwie się z postronka.

Piotr przerwał rozmowę. Ukląkł do pacierza, zmówił go i położył się spać. Usnąć jednak nie mógł, pomimo wielkiego przemęczenia. Pali jednego papierosa za drugim. Przewraca się z boku na bok — ani rusz. Gorączka zachodnia opanowała, go i odtąd — podług swojego charakteru — nie uspokoił się aż do rana, kiedy zaczął już działać. Jeszcze przed śniadaniem wyszedł na wieś, aby skaptować ludzi do wyjazdu.

Teraz znalazł się w swoim żywiole. Tym bardziej, że kilku ochotników zdołał namówić zaraz tego samego dnia — i grupa poszukiwaczy przygód — sformowała się.

Zaczęły się długie formalności związane z wyrobieniem biletów na przejazd. Chodzenia do gminy, wyjazdy do powiatu: i wreszcie, jak u Piotra — sformowanie koniecznej gotówki na drogę. Jednak wszystko to jakoś względnie gładko dało się zrobić i w dosyć ładny lutowy dzień, grupa Piotra Laskowiaka wyjechała — za gospodarstwami.

Było to na ten temat, jak zwykle — wydziwienia nie mało. Chociaż Piotrowi nie dziwił się specjalnie nikt.

— Cóż on tu ma? Co tu go może trzymać? Gospodarstwo mu się opuści?..

Ale takiemu na przykład Bartosikowi — wszyscy się dziwili. Czego on szuka po świecie? Jedno dziecko i piętnaście mórg ziemi. Niezły inwentarz i w kieszeni też nie samo płótno. Albo taki Misiak? Dziesięć mórg ziemi, ani grosza długu. Dwie krowy, konia. Kartofle sprzedaje na każdą wiosnę. W ogóle żyje, jak pączek w maśle. Wiedzie mu się jak nikomu prawie. Żadnych upadków w inwentarzu, czy w czym innym. Co sobie uplanuje to mu się i uda.

— Wiadomo, komu dobrze, chce jeszcze lepiej.

Antek Mroczek, Władek Domagała już znów mniej byli brani pod uwagę. Kupa dzieci. Jeden ma koniaczynę i krowinę, drugi krowę i jałoskę. Nie mają wcale na co się oglądać.

No — jeszcze trzech kawalerów — toć wiadomo, gdzie się obróci, tam żyje. A ostatni dwaj, to już wiadomo:

— Dziadu, wieś się pali!

— Biorę torby, idę dalej.

Zresztą nie bierze ich nikt pod uwagę, żeby oni mogli zostać gdzieś na gospodarstwie.

Grupa jednak wyjechała, bez przeszkód minęła byłą granicę polsko-niemiecką w Prusach Wschodnich i pośród południowo mazurskich wzgórz, lasów i jezior zbliża się do Olsztyna. W Olsztynie półgodzinna przerwa i znów miejscowym pociągiem, wśród karkołomnych przepaści, poprzez liczne zakręty, wiraże, często z góry na pazury, aż dech w piersiach ze strachu zatrzymuje — jadą dalej na północ, do tymczasowo końcowej stacji — Nowy Targ Warmijski.

Wśród potwornej zamieci śnieżnej, o dwunastej w południe stanęli wreszcie na „Ziemi Obiecanej".

Aleksander Błachnio

Zygmunt Wasilewski

ELEMENTY PSY

W wędrówce po tajemnych drogach labiryntu duchowego pomocną jest **intuicja.** Jest to owa nić Ariadny, użyczająca się każdemu, kto się wczuje i wmyśli w głębiny ducha ludzkiego. Nić oficjalnej psychologii, badającej umysłowość od progu świadomości, nie wystarczy na ten cel. Daleko głębiej zapuszcza myśl penetracyjną poezja, zwłaszcza w swej fazie mitotwórczej i wiedza teologiczna.

Trudno w tym szlaku rozwojowym ustalić nieprzekraczalność tej czy owej granicy wiedzy. Jeżeli chodzi o stosunek psychiczny jednostki do narodu, to wiem, że polityk (biorąc rzecz od góry) zaczyna się nie od momentu, kiedy człowieka wybiorą na posła, lecz że ten człowiek już wcześniej był „zoon politykon", i że jako dziecko miał już zaszczepione przez wychowanie i odziedziczone po przodkach pewne dyspozycje „polityczności", pewien styl, czyniący z niego postać typu danego narodu. Kiedy tego człowieka widzę w stanie mniej lub więcej surowym i rozważam jako stworzenie, to samo narzuci mi się zestawienie z istotami świata zwierzęcego, upoważnionego w te same dary przemyślności życiowej, wad i zalet. Wiem, że nie uczyli się ojcostwa i macierzyństwa on i jego towarzyszka życia wtedy dopiero, gdy im się urodziło dziecko, lecz że tę wiedzę mieli już wrodzoną i że wzorem dla nich mógł być stosunek do potomstwa rodziców u ssaków czy ptaków.

A gdy się wchodzi na drogi instynktów, to nie widzę gdzie ich kres. I sądzę, że życie tych instynktów ma poza sobą długi łańcuch dziedziczeń i związków z przyrodą, tak głęboko sięgających, że są w duszy nierozpoznawalne, bo giną w głuchej tęsknocie za czymś co było. Bo nic w naturze nie ginie bez śladu. Po wszystkich przeżyciach moich własnych pozostał we mnie ładunek doświadczenia osobistego, jak i po przeżyciach przodków — ładunek usposobień, które są też pamięcią.

Przeto myślę, że — jeśli chodzi o wychowanie człowieka i narodu — nie wystarczy zabiegać koło tego dopiero wtedy, gdy człowiek wybrany będzie do parlamentu; należy wychowanie cofnąć daleko w głąb: do szkoły początkowej i dalej w rodzinę i jeszcze głębiej w atmosferę, w jakiej hodują się jego instynkty i siły biologiczne, słowem we wszystko to, co stanowi o rasie psychicznej i moralnej człowieka, o jego s t y l u.

Tego stylu nie można improwizować na nowo z każdą falą nowej mody literackiej, narzuconej przez międzynarodowy bękartyzm. Styl narodu urabia się przez wieki w długim łańcuchu pokoleń, a modelem tego stylu jest sam człowiek dziedziczny. Na tym właśnie się zasadza postulat rodzimości, aby zachowany był w jednostce tradycjonalizm, który ona z sobą przynosi już na świat w swoim stylu, w swojej pamięci organicznej o przeżyciach danych, w swoich tęsknotach, przeszłość idealizujących.

Naród jest istnością psychiczną, a tę swoją psychikę czerpie z jednostki. Naród tedy nie może być zbudowany inaczej jak tylko według wzoru psychiki jednostkowej, ustalonej biologicznie. Naród żyje tak samo tradycjami i rzutuje swoją przyszłość według ideałów wyhodowanych w tęsknotach o lepszej przyszłości, w tęsknotach przybierających w chwili krytycznej postać myślową charakteru mesjanicznego.

Dlatego kładę nacisk na psychologię instynktów, one bowiem jako siły żywiołowe narodu stanowią fundamentalną część jego ustroju. Jest to ów „suteren" Mickiewicza.

Przez świat duchowy jednostki i narodu przechodzi linia magistralna. A ta główna autostrada ducha łączy bieguny metafizyczne świata: Początku i Końca. Człowiek ze swoją teraźniejszością to teren tranzytowy dla tych procesów życia, które Bóg zapoczątkował, dając światu do wykonania z metą życia przyszłego. Jest to linia prosta między przeszłością i przyszłością. W psychice żyjących kierunek ten nadany jest od p a m i ę c i tego, co już się przeżyło. Człowiek bieżący jest punktem tranzytowo - przeładunkowym między przeszłością i przyszłością. Energia życiowa przeładowuje doświadczenia wieków, przechowane w pamięci organicznej człowieka, na zmysł c i e k a w o ś c i, pociągającej jego psychikę w przyszłość. Owa dążność naprzód, sięgająca zabiegliwością w przyszłe pokolenia, stanowi przedłużenie linii, którą człowiek przyniósł w sobie w pamięci. Na tamtej nauce wieków modeluje on swą przyszłość, stamtąd niesie z sobą zarys ideałów życia. **Nie ogarnialibyśmy świata miłością, gdybyśmy tej miłości nie przynieśli z sobą w psychice.** Że nam się chce przedsiębrać nowe życie w interesie przyszłych pokoleń, że tak miłujemy życie, że wszystkimi czynnikami duszy staramy się spotęgować energię życia — to wszystko zawdzięczamy miłosnej uczuciowości, wyhodowanej w stanach podświadomych, w owych pełnych tęsknoty przypomnieniach dobra przeżytego. Miłość tym się potęguje, że pamięta tylko dobro. Gdyby pamięć gromadziła niekorzystne przeżycia, temperatura energii psychicznej spadłaby do stopnia mrozu i nie byłoby życia.

To, co nazywam ogólnie pamięcią, jest podstawą duszy człowieka. Dlatego mówię o temperaturze stanów podświadomości, bo tam jest siedlisko uczuciowości, nie tylko czucia życiowego, tam określa się człowiek ze swymi tendencjami, talentami i charakterem. Z tych zasobów późniejsza świadomość przędzie myśl, którą człowiek w życiu się kieruje, stamtąd właśnie czerpiąc poczucie ideału, do którego zmierzać będzie, bo stamtąd prowadzić go będzie Miłość uskrzydlona Wiarą i Nadzieją.

Według tej linii układa się życie dodatnie zarówno w jednostce, jak i budowanej przez jednostki psychice narodu. Jest to linia przewodnia pozwalająca orientować się nade wszystkim w tym, jak ważną sprawą w wychowaniu jest dbałość o czystość instynktów wciąganych w grę życia świadomego, a więc jak głęboko sięgać trzeba w duszę jednostki i narodu, aby tej magistrali nie zgubić.

*

Nastręczają się tutaj wnioski dalsze, wkraczające już w program życia publicznego. Nie wolno człowieka prostego zbydlęcać przez odbieranie mu dziedzicznych, zdrowych podstaw duszy i umysłu, nie wolno zabijać w nim miłości i wiary, bo tam jest energia twórcza, nie wolno niszczyć w człowieku przywiązania do tradycji, bo tam są podstawy stylu, w jakim budujemy cywilizację, nie wolno grasować po niwach narodowych wrogom, głupcom i doktrynerom w charakterze wychowawców.

A dalszy wniosek: dzień biały pracy cywilizacyjnej zaczyna się znacznie wcześniej, niż to sobie wyobraża późno budząca się do pracy inteligencja. Można powiedzieć, iż **słońce nigdy nie zachodzi nad życiem człowieka.** Dusza pracuje w pokładach podświadomości, którą zwykliśmy zaliczać do sfery czysto biologicznej. Na strunach duszy pierwotnej, napiętych energią życia, gra swój hymn myśl boża, grają też zjawiska przyrody i wzory ludzkie. **Życie duchowe zaczyna się w głębinach natury ludzkiej.** Jeśli tego sobie nie uprzytomnimy w swoich planach życia, to nie widać, gdzieby w naszym umyśle było miejsce na pojęcie Narodu.

Naród nie jest kompozycją sztuczną, wymyśloną przez ludzi oświeconych. Jest tworem naturalnym i traktować go trzeba naturalistycznie, nie po doktrynersku. Ulegamy oszustwu, w naszych czasach z niezwykłą precyzją obmyślanemu, gdy w epoce wysoko rozwiniętej wiedzy o przyrodzie i o stosunku do niej człowieka, praktykujemy antagonizm między duchem i ciałem, między ideologią i biologią, jakbyśmy chcieli korygować myśl Stwórcy, który dał duszy naturę psychofizyczną.

Pod koniec zeszłego stulecia, kiedy w filozofii wyłaniały się nowe gałęzie nauk: psychologia i socjologia, w podwaliny światopoglądu położono zasadę, że między światem przyrody i światem ducha ludzkiego istnieje nie dająca się umysłowi zbadać **vacuum.** Po tamtej stronie urwało się na komórce zwierzęcej i na instynktach, po tej zaczęło się od świadomości, dającej człowiekowi możność swobodnej twórczości. Przerwa ta nastąpiła wskutek wyzwolenia się umysłu od prawa zachowania energii, która jest własnością materii, a więc bytu dającego się pojąć tylko w przestrzeni, gdy duch jest pozaprzestrzenny. Rozwiązać zagadki tego przeskoku nie jest zdolna ani metoda filozofii materialistycznej, ani metoda monizmu spiritualstycznego, chyba tylko przy założeniu istnienia cudów. A ponieważ w cuda epoka wolnomyślności nie wierzyła, więc uczeni, zarówno fizjologowie, jak i psychologowie, pojęcia tego nie zastosowali. Pominęli określenie faktu milczeniem, stawiając po słowie fakt kropkę. Mentalnie pojęcie cudu zlaicyzowali. Woleli powiedzieć czytelnikom: **ignoramus** — w tym podstępnym wyrachowaniu, że czytelnicy — wobec ogromu wiedzy uczonych — za zwykłą ignorancję tego im nie poczytają. Stanęło tedy na milczącej umowie, niejako na kompromisie. Któżby w epoce Spencera mógł zachować się inaczej? W bardzo ładnym i mądrym podręczniku psychologii uczonego duńskiego H. Höffdinga (1890) czytałem niegdyś opinię taką:

„Elementy duchowe powstają i

CHIKI NARODOWEJ

II)

znikają w doświadczeniu... Ta okoliczność, że stany duchowe nie dają się mierzyć jak energie fizyczne i chemiczne, wystarcza, aby odebrać nadzieję, jakobyśmy mogli kiedykolwiek znaleźć duchową paralelę prawa zachowania energii... Byty cielesne mogą przechodzić jeden w drugi tak, że energia stracona w jednym odnajdzie się w drugim... wrażenia, myśli i uczucia są objawami działalności duchowej, które wraz ze śmiercią indywiduum istnieć przestają". [1])

Odebrano nam tedy nadzieję zawartą w słowach poety: **„non omnis moriar"**. I źle się stało i niepotrzebnie W nauce łatano pustkę przedziału analogią, doprowadzaną zresztą do tożsamości. Uczono nas budowy społeczeństwa na pszczołach i mrówkach, a na tej analogii doskonale wychodziły tamte twory, ale gorzej wychodzili ludzie, bo dano zarys społeczeństwu czysto gospodarczy, pozbawiony aspiracji duchowych. Gdzieindziej zaznaczam, jakie to pociągnęło skutki w dziejach cywilizacji europejskiej.

Nasze pokolenie, doprowadzające do syntezy poglądy z czasów romantyzmu z poglądami pozytywizmu, przezwyciężyło dualizm. Nasz pogląd na świat ludzki dąży do pojednania fizjologii z psychologią w zakresie nauk społecznych. Musimy przywrócić należne miejsce dla energii życiowej w systemie świata duchowego. Bo dla nas faktem jest ignorowany przez naukę dotychczasową **naród,** jako dalszy ciąg rozwoju świata według praw natury. Dla nas zjawiska duchowe indywidualności ludzkiej nie giną bez śladu. Z nich wytwarza się nowy byt psychiczny w postaci społeczeństwa narodowego. Czymże on stoi, dźwiga się, działa i zapewnia sobie przyszłość, jak nie energią psychiczną? My wierzymy w cud energii, która od początku świata była pierwiastkiem duchowym.

*

Może to ułatwi nam objąć wzrokiem obraz życia duchowego, jeśli porównamy je do tkaniny, na którą składają się w warsztacie dwie rzeczy, osnowa i wątek, w tę osnowę wtłaczany, a nadający całości deseń i miąższ. Otóż nićmi w tej osnowie, dającymi tkaninie ciągłość i moc, są przyrodzone człowiekowi siły i właściwości biologiczne, wiodące swój ród z przyrody, jak u innych stworzeń ożywionych, nić zaś wątku jest dopiero własnością ludzką, o ile jest produktem świadomości, myśli i idei. Nie trzeba jednak zapominać, że wytwarza się na tle osnowy i że jest żywa, a więc że łączy się organicznie z nicią osnowy. Ogółem zaś biorąc cały ten materiał i cała ta robota składa się z dwu współczynników: **uczuciowości jako produktu przyrody — i myśli, jako produktu życia społecznego.** Pierwszy z tych elementów psychicznych ma swoje żywe źródło **w jednostce,** mającej **za sobą** swój biegun genezyjski w mrokach przyrody fizycznej, drugi zaś element, ów psychiczny, ma swój biegun przed sobą w niezmierzonej odległości zasięgu ideowego. W pierwszym z tych pól znajduje się intymne siedlisko jednostki, w drugim — zaczyna się żywot nowego, wyższego tworu organicznego: — **społeczeństwo** typu narodowego, przetwarzający człowieka na swój użytek tak, jak się to działo z komórką w niższych stadiach rozwoju przyrody.

Za równik między tymi światami przyrody i psychiki trzeba uważać moment, kiedy komórka zwierzęca siłą parcia elementarnej energii życiowej nadbudowała się w systemie nerwowym, zyskawszy w ten sposób swój negatyw i przejrzała. Był to moment narodzin **świadomości,** zdolnej produkować myśl. [1])

Jednostka zawdzięcza społeczeństwu możność dalszego rozwoju swoich darów przyrodzonych, w kulturze bowiem duchowej środowiska wszystkie jej pierwotne popędy i instynkty, same nawet jej zmysły, nabierają znaczenia świadomych sił psychicznych. Życie jednak podświadome nie gaśnie w jednostce i stanowi nieoceniony zapas surowca psychicznego, zasilającego duszę społeczności. Rzec można, kultura społeczna przysiada się do człowieka, jak do kądzieli i przędzie na swą tkaninę tym cenniejszą nić, im żywotniejsze są pokłady instynktów w masach.

Zaliczyłem wyżej wszystko, co człowiek w sobie przynosi w stanie podświadomości, do sfery uczuć, tak duży w tych stanach emocjonalnych, pomimo ich egzotyczności, istnieje potencjał miłości. Im on jest większy, tym wyższy staje się gatunek tkaniny społecznej. Władz czysto psychicznych, którymi rozporządza świadomość, jest troje, rozum, wola i poczucie piękna. To są prządki umysłu społecznego, owe trzy **„moiry"** greckie (Parki), ale władza ich byłaby tylko formalna, gdyby praźródło bytu, energia życiowa, nie dała im treści w postaci żywych instynktów, a przede wszystkim głodu życia i miłości życia. Stany uczuciowe pozostają własnością jednostki. Uczuciowość jest właściwie tylko temperaturą wszystkich czynności psychicznych, odbywających się w stanie ich uspołecznienia. Ona jest glebą, od której należy urodzaj i uroda planów cywilizacji. Twórczość społeczna, jak każda twórczość, jest nadawaniem formy, ale treść żywa dochodzi przez człowieka z przyrody. Myśl ludzka, jak dobry gospodarz, musi wobec tego faktu zachowywać się z religijnym szacunkiem i zabiegać o należytą tej gleby uprawę. Jest to bardzo ważny aspekt przy rozważaniu psychiki narodowej, narzucający umysłowi badacza metodę naturalistyczną.

Znaczenie tego surowca uczuciowego dla twórczej świadomości przeniknął nieomylnym wzrokiem ducha Mickiewicza, gdy stawiał przed myślą twórczą społeczeństwa takie zadanie:

Snuć miłość, jak jedwabnik nić z piersi swych snuje;
Lać ją z serca, jak źródło wodę z wnętrza leje;
Rozkładać ją, jak złotą blachę, gdy się kuje
Z ziarnka złotego; siać ją, jak się zboże sieje,
Hodować ją, jak matka dziecko swe piastuje;
Puszczać w głąb, jak nurtuje
Źródło pod ziemią; w górę wiać nią, jak wiatr wieje;
Po ziemi ją rozsypać, jak się zboże sieje;
Ludziom piastować, jako matka swych piastuje:
Stąd będzie wyższa moc twa jak moc przyrodzona
A potem będzie moc twa jak moc krzewienia,
Potem jak ludzi, potem jak moc aniołów,
A w końcu będzie jako moc Stwórcy stworzenia.

W tym lirycznym westchnieniu zawiera się cały traktat o pojmowaniu duszy w obrocie cywilizacyjnym — od jej źródła do absolutu.

Mówiąc nawiasem, poczytuję za hańbę nauki psychologii nowych czasów, że dała u siebie miejsce na „Psychoanalizę" niejakiego Freuda, który swoje spostrzeżenia z dziedziny patologii śmiał nazwać analizą duszy i ordynarnym ich spopularyzowaniem ośmielił płytką umysłowość naszych czasów do świętokradzkiego targania się na wielkie zjawisko miłości.

W rozważaniu psychiki ludzkiej trzeba stanąć na stanowisku, że **naturalia** nie tylko **non sunt turpia,** ale że są święte. Prawo rozradzania życia ze swoim pierwiastkiem erotycznym może być wykładnikiem duszy ludzkiej i przedmiotem psycho-analizy ze swojej strony pozytywnej. Daje się ono wyśledzić we wszystkich postaciach życia, nie tylko tam, gdzie występuje patologicznie. Popularyzacja „psychoanalizy" taka należy do zakresu pornografii. Oczywiście uczucie miłości, nawet tak pojętej, jak w powyższej liryce Mickiewicza lub w „Raju" Dantego, wiedzie swój rodowód z powszechnego prawa rozradzania życia, które się równa prawu zachowania energii, a więc zawiera w sobie tajemnicę bytu.

Jeżeli wrócimy do wyżej rzuconego porównania rozwoju z robotą tkacką, to spostrzeżemy, że w tym spsychozowanym do niepoznaki materiale przewijają się dwa zasadnicze pierwiastki biologiczne: **rozrostu i rozradzania.** Dwie te siły w najrozmaitszych kombinacjach, rozszczepieniach i kojarzeniach zapewniają życie psychiczne.

Ciekawość jest siłą wyciągu umysłu w procesie uświadamiania. W niej mamy już pierwiastek aktywności umysłu, rzec można — pierwiastek bohaterski stawiania czoła nowościom, które u zwierząt budzą tylko strach i z wielkim trudem, tylko pod przymusem i w nałogu, dają się przyswoić. Dzięki ciekawości człowiek przezwyciężył swoją ahistoryczność, odkrył przyszłość i jeszcze więcej, bo otworzył drogę penetracyjną w głąb pokładów swej pamięci, z której odgrzebuje przeszłość. Odtąd stał się subiektywnie tylko punktem między przeszłością i przyszłością, którymi swój czas uskrzydlił.

Tego typu świadomość jest podstawą bytu narodowego. Jest to świadomość rodowa, dobyta z pierwiastka energii rozrodczej i jako najbogatsza w swym źródle psychicznym, górująca nad wszystkimi innymi stanami świadomości. Ona obejmuje całokształt życia zbiorowego i daje podstawy społeczeństwu typu narodowego, jako rozszerzonej rodzinie. W tym procesie rozwojowym dana została ludziom możność osiągnięcia syntezy **dwu zasadniczych czynników bytu psycho-fizycznego:** głodu i rozrodczości. Pierwszy z nich jako bardziej natarczywy i dostępny najniższej nawet świadomości, a przez to popularny, staje się w nowoczesnych umysłach demokratycznych podstawą poglądu na społeczeństwo, jako na „konsum". Społeczeństwo według tego poglądu jest organizacją interesów przede wszystkim materialnych, regulującą walkę o chleb i pozwalającą obywatelom spokojnie chleb ten spożywać z myślą o dobrobycie i użyciu jako ideałach.

Tu leży zawiązek współczesnego dramatu cywilizacji europejskiej. Poszła ona w kierunku łatwiejszym zaspakajania potrzeb materialnych ze stopniowym redukowaniem potrzeb duchowych. Staliśmy się świadkami gospodarki rabunkowej w dziedzictwie cywilizacyjnym, które zawdzięczaliśmy wielkim wysiłkom ducha. Ostatnim manifestem testamentowym był romantyzm. Uląkł się świat tego wysiłku, obrał drogę życia „ułatwionego". Uląkł się myśli, sięgającej w przyszłość, która zrodziła człowieczeństwo i dodała do nazwy **homo sapiens** tytuł **sapere ausus.**

Wyraziłem się wyżej, że człowiek nowoczesny, szukający dróg życia „ułatwionego" i uważający społeczeństwo swoje jedynie za „konsum", gospodaruje w cywilizacji swego narodu w sposób rabunkowy. Istotnie robi on z cywilizacji użytek konsumpcyjny, zaniedbując obowiązujące go prawo powszechne „zachowania energii". Energia ta na poziomie życia świadomego przerzucona została na psychikę, o tę psychikę więc trzeba dbać, bo tu leżą rękojmie dalszego rozwoju. Cywilizacja może upaść, załamując dzieje narodu, przy najlepszym stanie maszyn, przy najpełniejszych żołądkach ich posiadaczy, jeśli zapomną o potrzebach ducha, który jest w społeczeństwie jedyną rzeczą realną. O tym, jak czasy „ułatwione" dewastują tego ducha, i jakimi niebezpieczeństwami ta gospodarka grozi, nie będę się tutaj rozwodzić, wystarczy odwołać się do opinii takich autorów, jak Roman Dmowski („Świat powojenny i Polska") a z obcych A. Carella („Człowiek istota nieznana") i in. Pragnę tylko zaznaczyć, że to zjawisko obserwowane i oceniane według szkód pod kątem politycznym i cywilizacyjnym przez publicystów, sięga głęboko w naturę człowieka i uwstecznia go w rozwoju. Zważyć bowiem trzeba, że w ogóle proces uspołeczniania, zwłaszcza gdy staje się dla jednostki czy grupy aktem uświadomionym, nie odbywa się gładko. Moment zrzekania się samowolności na rzecz woli zbiorowej jest zawsze **locus minoris resistentiae** ciała zbiorowego, punktem, w którym odbywa się chybotanie stosunków społecznych. Lud pierwotny łatwiej znosi przymus ze strony najeźdzcy, czy tyrana, niż by mógł cząstkę tego przymusu sam sobie zadać. Narody sformowały się, jak świadczy historia, pod działaniem wychowawczym ustroju państwowego, który nie był wytworem samorzutności ludzkości. Widzieliśmy, że górująca pod panowaniem dynastii racja stanu nadawała społecznościom postawę narodową, życie bowiem państwa opanowane było ideą na daleką metę. Od czasu jak tę myśl (czy to wskutek osłabienia władzy jak było w Polsce, czy wskutek nastania ustroju demokratycznego) sam obywatel czy klasa) zaczął na użytek państwa produkować, zaczęło się wahanie, czy nie lepiej zamiast maksymalnego programu narodowego zastosować program „życia ułatwionego" bądź przez rewolucję, bądź przez stopniowy rozkład psychiki i moralności Równało się to uprywatnianiu życia zbiorowego, wycofywaniu go ze stopy prometejskiej na stopę epimetejską.

To, co powyżej naszkicowałem, dotyczy natury człowieka i daje ogólny zarys podstaw **życia** ludzkiego, jako najwyższego wytworu przyrody. Wyraziłem się o tych podstawach, że nakreślają one maksymalny program życia. Zachodzi pytanie, czy człowiek ma jakiś wobec tego programu obowiązek nie tylko poznawczy. Człowiek, który potrafił niegdyś wyrazić mową Kochanowskiego hołd Stwórcy za Jego „hojne dary", nie ma prawa tych darów marnować, nie ma prawa programu stworzenia **okrawać,** zwłaszcza gdy doszło do poznania, że zasadą ducha jest tendencja rozszerzania zakresu życia.

Wszystkie akty dziękczynienia za dar życia, czynione w stanie natchnienia przez poetów, były zaprzysiężeniami ludzkości, które dochować winniśmy. Obowiązuje nas wszystko, co szło na dobro ducha za nieomylnym instynktem życia; a on jest nieomylny, bo gdyby mogło być inaczej, nie byłoby życia.

Gdy doszliśmy do poznania, że wszystko zawdzięczamy, jak nasieniu owemu, pierwiastkowi energii życia, to musimy przyjąć za linię swego rozwoju wszystko, co stąd pochodne, a więc oba konary z sobą splecione i wyładowujące wyższą postać życia organicznego: — prawo odżywiania życia i prawo jego rozmnażania. Obowiązuje nas do tego samo poznanie prawdy, że życie oparte jest na prawie zachowania energii we wszystkich tego prawa konsekwencjach rozwoju duchowego. Gdybyśmy tych konsekwencyj się ulękli i obrócili tę energię na użytek doraźny życia materialnego, skręcilibyśmy życie na ślepy tor „świadomości" zwierzęcej: na to się żyje, aby jeść. A do tego właściwie się ściągają powracające do prymitywu myślenia programy totalistyczne.

Człowiek cywilizowany tym różni się od zwierzęcia, że żyje na stopie świadomości, a tym różni się od człowieka pierwotnego, że z tej **świadomości** zrobił użytek etyczny i odtąd staną na stopie **sumienia.**

Sumienie jest organem instynktów wyższego rzędu, automatem, regulującym życie duchowe jednostki według jej **obowiązków** wobec środowiska, tak jak czucie reguluje dynamikę życia zwierzęcego. Sumienie jest pracowitym i drogocennym dorobkiem dziejów człowieka uspołecznionego, od najgłębszych przeczuć i praktyk biologicznych począwszy, do najdalszego zasięgu świadomości ideowej. Mieści się tam poczucie obowiązku zarówno wobec natury, jak i wobec zasad wysnutych z prawa miłości.

Może nie byłem dobrze zrozumianym, gdy wyraziłem się pobieżnie o życiu psychicznym, że rozłamuje się na dwa typy. Jeden z nich dąży do rozwinięcia programu maksymalnego, drugi zadawala się programem cząstkowym, łatwiejszym. Według mego zdania pęknięcie to sięga głęboko w naturalne podstawy życia, a pochodzi stąd, że świadomość ludzka zawodzi, gdy chodzi o stały wysiłek w przenikaniu istoty bytu. Nie tylko świadomość zawodzi, ale i sumienie... Według tego poglądu od czasu zlaicyzowania świadomości zbiorowej, kiedy u-

(Dokończenie na str. 8)

[1]) „Psychologia ogólna". Warszawa 1890, str. 100.

[1]) Por. 7 nr. Szumana „Geneza świadomości" Kraków 1923.

Wędrówki po scenach polskich

REWIZOR PO RAZ DRUGI I TRZECI

Pierwszy raz: Katowice. Ubiegły sezon. Realizacja — Borowski.

Po raz drugi: Kraków, Teatr im. Juliusza Słowackiego. Reżyseria Warneckiego. I wreszcie, po raz trzeci: Warszawa Teatr Nowy. Reżyseria Perzanowskiej.

Tym razem za chętkę do porównania zapłacić trzeba będzie dość dużym trudem. Łatwo było zestawić „Nie igra się z miłością" z „Kaprysami Marianny" — wartość spektakli, mimo piśmiennej filipiki Maślińskiego w „Kuźnicy" zbyt była różna.

A tutaj...

Chwali bardzo krakowską realizację „Przekrój". Cóż... dekoracje robił Marian Eile, a kostiumy Kamyczek...

Tenże sam Eile, bardzo się krzywił na przedstawieniu w Warszawie. Chociaż osoba ważna, ale... argumenty naprawdę nikłe.

Nie da się prosto ustalić kolejności.

Gdzie było najlepiej? — Zależy pod jakim względem.

Co chcemy widzieć w „Rewizorze"? Jeśli tylko satyrę na Rosję carską to najbardziej udane były spektakle w Katowicach i w Warszawie. I tu i tam bowiem na scenie był kawałek dawnej Rosji. Pomagały w wywołaniu tego nastroju dekoracje zarówno Makojnika jak i Cegielskiego. Mówił o tym każdy ich szczegół: i samowar, i obszarpany fotel w gospodzie, i ryczenie krowy, pianie koguta i szczekanie psów (nieudolnie wykonane, ale dobrze pomyślane dodatki Warszawskie) i nawet, również w stolicy zastosowany, delikatny, a wymowny podkład muzyczny.

Jeśli natomiast satyrę Gogola chcielibyśmy umieścić ponad czasem i poza wszelkimi granicami politycznymi, to, gdyby spektakl krakowski do swojej oprawy scenicznej miał dopasowaną grę wykonawców, musielibyśmy dopatrzeć się w nim właściwego rozwiazania.

Jedno jest pewne: Borowski i Perzanowska znają carską Rosję a Warnecki przypuszczalnie nie przekroczył nigdy naszej granicy wschodniej.

Gdybyśmy tedy chcieli ustalić kolejność tych trzech premier na jakiejś liście w/g dopasowania koncepcji reżyserskiej do epoki, to pisalibyśmy: Perzanowska, Borowski, Warnecki.

Inaczej będzie wyglądała sprawa gdy w warunkach, które stawiamy pracy reżysera, do obowiązku znajomości epoki dołączymy postulat artystycznej intencji. Tutaj niestety kolejność nazwisk będzie miała wygląd zupełnie inny.

Pamiętacie postać Artemija Filipowicza Ziemlanika, kuratora instytucji filantropijnych? Pamiętacie moment, kiedy (akt IV) przychodzi na niego kolej rozmowy „w cztery oczy" (bo tak się dzieje „w każdym praworządnym państwie") z Chlestakowem? Wydaje mi się, iż Gogol chciał, by jego Ziemlanik, był ze wszystkich świń, świnią najgorszą. Plan kuratora polegał na tym, by wykupić się od zapłacenia haraczu lizusowskim donosicielstwem. Tak to pojął Borowski i Warnecki. Tak tą postać potraktował w Krakowie Leszczyński. W Warszawie natomiast Ziemlanik jest gorliwym donosicielem i również chętnie szuka w kieszeni pieniędzy na łapówkę.

Inny przykład. Osip, służący Chlestakowa, jest chytrym chłopkiem — przypisywanie mu zbytniej inteligencji nie jest chyba właściwe. Zarówno Borowski jak i Warnecki ustalają, iż momentem kiedy zorientuje się on w sytuacji będzie scena aktu trzeciego, rozmowa z Miszką. U Perzanowskiej Osip daje do zrozumienia, iż wszystko dla niego jest jasne w końcowej scenie drugiego aktu.

Jest jeden moment natomiast, w którym trudno mi ustalić kto ma rację: blok śląsko - krakowski, czy stolica.

Myślę o pierwszym spotkaniu Horodniczego z Chlestakowem. Perzanowska, poprzedzając to spotkanie, doprowadzeniem Chlestakowa do pasji gniewu konfrontuje go z Horodniczym w pozie zdobywcy — tym usprawiedliwiając przerażoną minę ojca miasta.

Borowski i Warnecki czynią to inaczej. Chlestakow przed wejściem Horodniczego jest tylko tchórzem — następuje tedy walka między głupotą czynownika a tchórzostwem dandysa. Walka obfituje w szereg co raz to śmieszniejszych pojęć i kończy się sukcesem głupoty, która nie pozwala trzeźwo spojrzeć na świat i ludzi.

Ujęcie Perzanowskiej daje tylko scenę dowcipną — koncepcja Borowski - Warnecki podkreśla satyrę.

Po tych przykładach wnioski: najbardziej właściwe ujęcie treści komedii uzyskaliśmy przede wszystkim w Katowicach i w Krakowie.

Obsady aktorskie, traktowane jako zespoły, stoczyły na trzech scenach walkę przebiegu dość łatwym do klasyfikacji.

W Katowicach Borowski dostał do dyspozycji zespół przeważnie młody, bardzo ambitny, bez narowów, fanaberii i trudnych do zwalczenia manier. Efekt był bardzo dobry: nie było kreacji wyrastających zbyt wysoko ponad miarę pozostałych wykonawców. Tu można było mówić o spektaklu, którego bohaterem był zespół.

W „Rewizorze" krakowskim dostrzegliśmy dużo nieporozumień. Nie wydaje mi się na przykład możliwym, by reżyser Warnecki uzgodnił z p. Eile treść dekoracji. Aktorzy wtłoczeni zostali w milieu nieco obce temu co sobie w czasie przygotowywania ról wykoncypowali. Na takim odcinku nie było żadnej harmonii. W obsadzie aktorskiej znaleźliśmy kilka osób z Katowic. Stąd po scenie tułały się echa śląskiej premiery, przy czym nie wiem na skutek czego nastąpiły pewne deformacje.

I tak na przykład Chaniecka (Anna Andrejewna) urealistyczniła swą rolę do końca, a Bieska (Maria Antonówna) przekroczyła zbyt wyraźnie próg groteski. Efekt znowu bardzo niezharmonizowany. Reszta zespołu traktowała swoje postacie najwyraźniej według własnego pomysłu, bez jakiejkolwiek linii wspólnej dla wszystkich.

Warszawa która, co uznać należy za zasługę, dała na scenie najwięcej dobrze pomyślanego ruchu, próbowała narzucić komedii jeden ton, do którego niestety zbyt wielu wykonawców absolutnie nie dorosło. Spektakl stołeczny trzyma się kilku zaledwie wykonawcami — a ról jest przecież więcej. A obsady są także ważne, nie wystarczy w nich tylko poprawna charakteryzacja i paralityczne powykręcanie członków. Leżą tedy w Nowym przezacni obywatele Dobczyński i Bobczyński, leżą kupcy, leży kelner (wspaniały był tu Titio w Katowicach) i inni.

Jeśli chodzi o wykonawców pojętych indywidualnie to z trzech omawianych spektakli na plan pierwszy wysunąć trzeba Jana Kurnakowicza. Jego Horodniczy (Kraków) był właściwie pierwszą po wojnie poważną kreacją spośród wszystkiego co stworzyli nasi mistrzowie starszego pokolenia. Kurnakowicz przechodził z niezwykłą wprost maestrią od nastrojów płaskiego tchórzostwa pierwszych zetknięć z Chlestakowem do niemal napoleońskiej (w karykaturze) buty gdy stwierdzał: Lubię być generałem. On też nadał ton premierze krakowskiej i on każe o tym właśnie spektaklu zachować pamięć na długie lata.

Drugą pozycją był Mroziński, stołeczny odtwórca roli Osipa. Po raz pierwszy widziałem Mrozińskiego w roli, której nie starał się upstrzyć tanimi gierkami i chwycikami made in kabaret w roli potraktowanej serio. Stąd sukces naprawdę duży i stąd dla krytyka zupełnie inne spojrzenie na możliwości tego aktora.

Trzecia wreszcie postać to Chlestakow Tadeusza Surowy (Katowice i Kraków). Surowa od czasów premiery katowickiej znacznie pogłębił tę rolę i jakkolwiek Tadeusz Cygler robił naprawdę wszystko co było możliwe, by wdzięcznej a trudnej roli sprostać, popełnił kilka błędów (np. scena z żoną podoficera i żoną ślusarza, gdzie Chlestakow wypadł jako pełen świadomości w działaniu hochsztapler), które każą mi postawić go niżej od krakowskiego kolegi.

Jest tylko jeden akt, za który mam pretensję do obu wykonawców. Myślę o kolejnych scenach z Wapkinem - Tapkinem, Szpekinem, Chłopowem i innymi w akcie 4-tym.

Wydaje mi się bowiem, iż tutaj wszystkie kreatury „pewnego miasteczka" uczą dopiero Chlestakowa jak należy brać łapówki. Stąd w jego zachowaniu, w nabieraniu pewności winna być zastosowana gradacja: od speszenia i niepewności co zrobić w wynikłej sytuacji, aż do rozbawienia, które znajdzie swój wyraz w treści listu do przyjaciela. W żadnym wypadku nie można było wprowadzić rysu drapieżnego kanciarstwa. Chlestakow lubił pieniądze, ale ich nie cenił, dlatego błędem byłoby zestawianie go na równym poziomie z całą plejadą pozostałych typków komedii. Surowa, jakkolwiek bliższy był prawidłowego ujęcia, niedostatecznie wycieniował te przejścia a Cygler nieco wypaczył samą sylwetkę nadając jej zabarwienie, o którym już uprzednio wspominałem.

Z pozostałych wykonawców chciałbym wyróżnić Wichniarza (Horodniczy w Katowicach), Chaniecką i Łuczycką w rolach Anny Andrejewny, Bielską (Kraków) jako Marię, E. Fertnera (Warszawa) i St. Jaworskiego (Kraków) odtwórców postaci wizytatora szkół, Eugeniusza Solarskiego (Bobczyński w Krakowie), Bieleckiego (Osip w Katowicach) i J. Titio (Katowice) w roli kelnera.

***

A cóż z samej komedii?

Nie wiele się zestarzała. Bawi już wiek i bawić będzie jeszcze bardzo długo. Bo i jak się nie uśmiechnąć szczerze i serdecznie, gdy ze sceny padają słowa: „bez bujania żadna mowa się nie obejdzie". Slogan, który przetrwa na pewno do końca świata.

Na jedną postać w „Rewizorze" zbyt mało zwraca się uwagi. Myślę o Piotrze Iwanowiczu Bobczyńskim. O cóż on prosi za swoje 40 rubli Chlestakowa? O to by wspomniał w Petersburgu wszystkim hrabiom, książętom, admirałom, samego „najjaśniejszego pana" nie wykluczając, że „w takim to a takim miasteczku mieszka Piotr Iwanowicz Bobczyński". Nic więcej. Wystarczy mu by jakiś admirał dowiedział się o jego istnieniu. Na świecie jest wielu Bobczyńskich. Gdyby Chlestakow chciał przyjmować ich wszystkich ujrzałby przed drzwiami swego pokoju wielokilometrowe ogonki. Bo słusznie ktoś mi podsunął w Krakowie myśl, iż obserwacja tej sceny „Rewizora" kojarzy się w myśli z treścią płynących na falach eteru w ramach koncertów życzeń słów Pani Perpetuł Iksińskiej zamieszkałej w... przy ulicy... pod numerem... moc życzeń imieninowych przesyła mąż. I pan Iksiński słucha tych słów wylegując się na tapczanie obok pani Iksińskiej. Słucha z dumą. Bo a nóż jaki hrabia dowie się, iż tu i tu na takiej to i takiej ulicy, pod takim to i takim numerem mieszka p. Iksiński, który pamięta o imieninach żony.

Mieczysław Markowski

F I L M

Refleksje po „Jasnych Łanach"

Film zaczyna się od kilku pięknych zdjęć. Pojawiają się następnie czarne charaktery, zorganizowane i zasobne w środki techniczne (pozwalające nawet na wystawienie fałszywych papierów!), pojawia się bohater Stempkowicz. Po wielu burdach w szynku, scenach rozpijania młodzieży, naśmiewań się z ułomnego „głupiego Jasia" i strzelaninach następuje na koniec „happy end", zwycięża prawo i uczciwość, ginie Elegant, a żyje Stempkowicz (wbrew zresztą programowi kinowemu, który uśmierca tę postać). We wsi zapala się światło.

W miarę rozwoju akcji nasuwają się refleksje i zastrzeżenia. Trzeba stwierdzić, że czarne charaktery ujęte są wyraziście i żywo, podczas gdy „świetlane postacie" nie przemawiają do widza, nie mają w sobie krwi i kości. Ponadto ilościowo również przeważają sceny pijaństwa i demoralizacji. Banda Eleganta potrafi sobie zapewnić przez długi okres bezkarność, oni wodzą rej w szynku, oni demolują świetlicę (przy czym na ekranie nie widać jej ponownego odrestaurowania) pomimo obstawienia wsi przedostają się do mieszkania młynarz i Elegant, czują się tam bezpiecznie i nie kryją zupełnie (zapalenie światła), dopiero przypadek z włączeniem elektryczności jest przyczyną uchwycenia i zabicia Eleganta. Przypadkiem, wskutek przegadania się, w ostatnim momencie wydaje się złodziej Duda. Zwycięstwo sprawiedliwości jest dopiero wtórnym wnioskiem w tym ujęciu. Ze strony drugiej nie ma odciążenia dla tak silnej, ciągłej a wyrazistej aktywności, nie ma tak zapisujących się w pamięci postaci. Pozostaje tylko akcent końcowy, który przytłoczony jest wrażeniem wyniesionym z całości filmu. Powiedzenia bohatera w rodzaju: „Musimy z tych ciemnych łanów stworzyć jasne" niewątpliwie mniej utrwalają się w pamięci widza, niż np. doskonale zagrany epizodzik wypicia kieliszka wódki przez Jąkałę przy jednoczesnym „nabiciu w butelkę" głupiego Jasia. Widz nieuprzedzony, który by uważał stosunki pokazane w filmie za typowe dla wsi polskiej wysnułby zupełnie fałszywe i karykaturalne wnioski.

Spora część sali w czasie seansu wypełniona była młodzieżą. Temperament ponosił i uzewnętrzniał się reakcją w postaci zachwyconych uwag: „ale go wykiwał!" (w scenie z Jąkałą i głupim Jasiem) lub podziwu nad ilością i sposobem picia wódki w scenie rozpijania małego Adasia. Komentarz? — Zbyteczny.

***

Wieś jest niewyczerpanym tematem, a życie jej kopalnią postaci, problemów i rozwiązań. Francuzi zrobili eksperyment, wysyłając ekipę, która przez rok filmowała fragmenty życia wiejskiego — bez fabuły, bez aktorów. Wynik przeszedł oczekiwania, powstał b. ciekawy, pełnometrażowy film.

Pożądanym by było, aby filmowcy polscy nauczyli się patrzeć na naszego chłopa realnie, wykorzystując całe bogactwo materiału i zagadnień, a nie poprzez fikcję i dyletantyzm.

***

W najbliższym czasie ma się pojawić na ekranach „Oświęcim". Potrzeba dobrego filmu, opartego na tej tematyce nie ulega kwestii. Film taki jednak, aby spełnić swoje zadanie, musi wytrzymać konkurencję z obrazami produkcji zagranicznej. Posiadamy dobrą produkcję filmów krótkometrażowych i dokumentarnych. Czy jednak powodzenie ich nie jest spowodowane tym, że treść ich polega na faktach, mówią one same za siebie — a tam, gdzie do głosu dochodzi scenariusz i reżyser, w filmach długometrażowych, opartych na fabule i akcji, spotykamy się ze sztucznością i przejaskrawieniami.

Dla kontrastu przykładowo można tu podać film „Ostatnia szansa", który, nie wysuwając Niemców na pierwszy plan, doskonale oddaje grozę sytuacji i nasilenie terroru, film, w którym reżyser umie wykorzystać ciężar faktu i posługiwać się niedomówieniami.

W budżecie na rok 1948 przewidziane jest na produkcję filmów 477,5 miliona złotych. Interesującą byłaby pozycja wydatków na przewidziane nowe 8 filmów długometrażowych. Pozwoliłoby to na porównanie wyników z kosztami. Dochód za filmy polskie, eksploatowane za granicą wynosi (wraz z prowizją „Filmu Polskiego" 33,7 milionów. Suma ta wydaje się niska w zestawieniu z kwotą przeznaczoną na import filmów i stawia poważne wymagania rozwijającej się produkcji polskiej w kierunku podniesienia jakości filmów i zwiększenia eksportu.

Film, jest najpopularniejszą rozrywką w tej chwili (w r. 1948 ma być 570 kin stałych i 100 objazdowych) i musi być uważany za jeden z najpoważniejszych środków wychowawczych i czynników upowszechnienia kultury. Nie tylko poziom obrazów polskich, ale i zagranicznych, które stanowią znaczną większość programów musi być rozpatrywany z tego punktu widzenia. Przewidziane jest sprowadzenie 169 filmów, należność z tytułu importu sięga sumy 334 milionów. Wynosi to prawie 2 miliony złotych za film. Nie omawiając kwestii wysokości odpowiednika tej sumy w walucie obcej (budżet nie podaje spółczynnika wymiany) przy imporcie filmów trzeba stwierdzić, że jest ona wysoka.

Pozostaje otwartą kwestia, czy nie lepiej byłoby w ramach preliminowanych kwot sprowadzić mniejszą ilość filmów — ale lepszych. Zmiany programów tak częste, jak obecnie **nie są konieczne.** Wielu chętnych z braku miejsc nie może się dostać do kina, natomiast wśród ostatnich premier widzieliśmy dużo obrazów małowartościowych lub wprost nawet skandalicznie złych („Wesoły Sublokator").

Opierając się na dotychczasowym procencie dobrych filmów amerykańskich i europejskich, trzeba stwierdzić, że ogólny poziom tych ostatnich był bezwzględnie lepszy. Monopolistyczna postawa M. P. E. A. nie może powodować zalewu ekranów polskich szmirami i musi znaleźć odpowiednik w naszym stosunku do zagadnienia. Produkcja amerykańska nie jest niezastąpiona — chętnie byśmy zobaczyli więcej obrazów innych krajów, poznali filmy ciekawe, a mało znane np. szwedzkie czy włoskie (dlaczego nie dotarł do Polski jeszcze żaden film produkcji tej świetnie zapowiadającej się kinematografii?) wzamian za bezwartościowe komedie amerykańskie.

L-scy

Elementy psychiki narodowej

(Dokończenie ze str. 7)

mysłom wydały się nie wystarczającymi zasady religijne przy regulowaniu elementarnych spraw życia i pozwolono na dowolne interpretowanie tajemnic życia doktrynom, nastąpiło szybkie uproszczenie programu życia i w światopoglądzie i w strukturze społecznej. Z dwu podstawowych motywów biologicznych jednemu tylko przyznano wartość, mianowicie temu, który ratuje od głodu, zaniedbano zaś tę część programu natury, która nakazuje ludziom odpowiedzialność za pomnażanie życia w celu zapewnienia mu wieczności. W programie pełnym podmiotem ma być człowiek wieczny, według tego prostszego — ma być tylko człowiek nasycony. Dwa typy różne: prometejski i epimeteiski, dwa typy społeczeństw: naród i — jak się wyraziłem — „konsum", współdzielnia wytwórczo-spożywcza o wybitnym charakterze kapitalistycznym.

Kończy się ta historia katastrofą. To, co nazwałem pęknięciem, otworzyło się na powierzchni życia jako przepaść, nad którą zawisła cywilizacja europejska.

Zwracam tylko uwagę, że owa katastrofa dotyczy nie tylko struktury gospodarczej, lecz łączy się ściśle zarówno ze zwyrodnieniem rasowym, jak i z upadkiem moralności i świadomości samej, właśnie tak jak założyłem apriorycznie, przypisując wielkie znaczenie zasadniczemu prawu biologicznemu integralności życia.

Integralność tę na najwyższym szczeblu rozwoju społecznego zapewnia struktura życia narodowego. Ona jest naturalna i obejmuje całość bytu. Jest to program życia maksymalnego, on tylko potrafi zharmonizować wszystkie interesy materialne i aspekty duchowe ludzkości.

Myśl nowoczesna uratowanej od zagłady cywilizacji, oparta na przebytych ciężkich doświadczeniach, powołana jest do wypracowania socjologii narodowej, mającej na widoku taki typ organizacji społecznej, która by ogarnęła dary ducha dane od natury. Tylko taki organizm społeczny będzie zdolny snuć z siebie miłość, dobywać z niej złoty kruszec myśli woli i wydobyć z siebie moc twórczą, wyższą moc przyrodzenia.

Zygmunt Wasilewski

Zbrodnia w Dzielnicy Północnej

17

Stefan Kisielewski (Kisiel)

— To zależy — twarz Henrietty ciągle była zagadkowa. Komisarz zżymał się z niecierpliwości.

— A jeśli odczytali szyfr?

Henrietta spojrzała mu w oczy. Komisarz z trudem wytrzymał ten blask jarzących się węgli.

— Jeśli te zbiry z „Narodu Przebudzonego" odczytali szyfr, panie komisarzu, to jutro z naszego pięknego miasta może być wielka kostnica. Hagewand ma do dyspozycji wspaniałe laboratorium — a nie jest on człowiekiem, lubiącym żarty czy mającym jakiekolwiek skrupuły.

Komisarz nerwowo przerzucał papiery. Przez chwilę myślał z namarszczoną brwią, potem wstał i zaczął zbierać dokumenty do teczki. Skończywszy tę czynność spojrzał na Henriettę — wzrok miał spokojny.

— Dobrze. Na tym narazie kończymy przesłuchanie. Będziecie państwo przewiezieni do aresztu.

W sąsiednim pokoju Alicja Dillon leżała na łóżku, przyciskając kurczowo twarz do poduszki. Obok stał policjant.

Komisarz wydał Windalowi, który kierował rewizją domu, rozporządzenia, dotyczące przewiezienia osób zatrzymanych do aresztu śledczego oraz zorganizowania nocnego pogotowia w Wydziale. Edward Lore przepadł bez śladu. Wysłuchawszy krótkiego sprawozdania sierżanta o przebiegu i rezultatach rewizji komisarz zeszedł na dół po skrzypiących schodach, wyszedł do bramy, gdzie czuwali agenci, minął ich i znalazł się na uliczce Bezludnych Domów.

Ciemności panowały tu obecnie zupełnie niewiarogodne — kolor nocy był chyba tego dnia i w tym punkcie miasta najczarniejszym ze wszystkich możliwych na świecie kolorów. Komisarz chciał iść energicznie, lecz mimowoli stąpał krokiem niepewnym — ciemność sprawia, że najbardziej znane miejsca wydają się nam groźne, tajemnicze i niebezpieczne — a Gromel przecież był na tej ulicy po raz drugi w życiu. Z trudem porał się z ciemnością, gdy nagle poczuł, że ktoś idzie mu naprzeciw. Zapalił latarkę: przed nim stał doktór Alen.

Chwilę trwali w milczeniu — komisarz zgasił światło. W ciemności usłyszał głos tamtego — pierwszy i ostatni raz w życiu doktora głos jego był niepewny, jakby złamany.

— Słuchaj... Antoni (pierwszy również raz od lat doktór nazwał komisarza po imieniu) — Czy... ona... wie — o mnie...

— Ona?

— Alicja

— Czy wie, że ty...

— Właśnie.

Trudno by jej chyba było teraz jeszcze udawać, że o niczym nie wie — powiedział oschłym, nieżyczliwym głosem komisarz.

— Udawać?!

— Udawać, udawać! To wszystko udawanie i komedia. Ale wybacz — muszę iść — jedenasta dochodzi.

Gromel energicznie wyminął doktora i pogrążył się w ciemność, nie zastanawiając się wiele nad tym, co się z tamtym stanie, co on myśli, co przeżywa. Komisarz miał ważniejsze sprawy na głowie— były to sprawy nawet bardzo ważne.

XV.

— Ależ ten dureń wpadł na pomysł — teraz rozumiem, dlaczego nie mogliśmy odnaleźć jego przeklętych notatek, choć rewidowaliśmy ten pokój z dziesięć razy a jego samego mieliśmy na oku od rana do nocy. Swoją drogą, żeby kazać wytatuować sobie szyfr na brzuchu, a potem wpaść przez babę — na to już trzeba urodzić się kompletnym idiotą!

Była to jedyna refleksja, jaką wypowiedział radca Pikron w czasie sprawozdania komisarza. Refleksja bardzo ordynarna — jak i cały radca. Komisarz z niechęcią patrzył na tego człowieka, ale jednak nie mógł oderwać od niego oczu. Zwłaszcza przyglądał się jego rękom — były dziwnie małe. Rozmowa toczyła się mniej więcej pół godziny po opisanych uprzednio wydarzeniach, w gabinecie zamordowanego profesora Galarda przy ulicy Balkonowej — tam odnalazł Gromel radcę Pikrona, siedzącego w głębokim fotelu Profesora — na tle tego ponurego miejsca wyglądał zarazem groteskowo i makabrycznie.

Komisarz skończył swoje sprawozdanie i milcząco wpatrywał się w Pikrona; tamten, czując jakby na swoich rękach natrętny wzrok, porywczym, niecierpliwym ruchem wetknął je do kieszeni.

— No i co — zaskrzeczał zaczepnie — jest pan teraz z siebie ogromnie zadowolony — hę? Myśli pan, że pan zdziałał cuda? Co?! No mówże pan!

Komisarz z wysiłkiem otworzył usta. Brutalna nieżyczliwość tego człowieka paraliżowała go zupełnie.

— Sądzę po prostu, że pewien etap sprawy został załatwiony — powiedział z udanym spokojem.

— Etap?! Załatwiony?! To wspaniale! Wydawało się, że radca znowu zaprodukuje kaskadę swego odrażającego śmiechu, ale poprzestał na pobieżnym naszkicowaniu tego zamiaru. — Pan uważa za załatwienie sprawy to, że pan mi zdekonspirował najzdolniejszego agenta, że pan wystraszył cały ośrodek organizacyjny, który miałem na oku — wypłoszył pan stamtąd wszystkich—gdzież ich teraz będę szukał?! Pan mi poprzerywał nici, które od lat wiązałem! I w zamian za to wszystko — szyfr diabli wzięli. Pan to nazywa załatwieniem etapu?! Pięknie was tam uczyli w policji kryminalnej!

— Ależ panie radco! — komisarz zaczerwieniony podniósł nieco głos. — Przecież oni tam mieli istny arsenał i ogromne laboratorium. Niesposób było tolerować przestępczej...

— Pan mnie nie będzie uczył! Mieli arsenał i laboratorium pod moim okiem, a teraz założą je licho wie gdzie i dopiero szukaj wiatru w polu! Czy pan myśli, że „Świat Nowy" zaniecha działalności dlatego, bo kilka podrzędnych płotek wpadło? Jedynego, który tam coś znaczył, tego Lore, wypuścił pan — i kto wie, czy nie z kopią szyfru w dodatku. Rzeczywiście — „załatwił" pan etap! Kho, ho, ho, ho!

Komisarz spuścił głowę. Przyszło mu na myśl, że w tym co mówił radca było jednak trochę prawdy. Ależ dlaczego ten człowiek nie poprowadził sam śledztwa?

— Uprzedzałem przecież pana radcę o zamierzonej interwencji — pan radca ten projekt zaaprobował...

c. d. n.

Z zagadnień gospodarczych

Niedocenione wydarzenia

Wśród całego szeregu różnych wydarzeń międzynarodowych, w które obfitują ostatnie tygodnie, bez specjalnego echa przeminął fakt doprowadzenia do skutku rokowań handlowych, które toczyły się od dłuższego czasu między Wielką Brytanią i Związkiem Radzieckim.

A jednak fakt ten nie jest bez znaczenia tak gospodarczego, jak i politycznego.

W dniu 27 grudnia 1947 r. Ambasador Sir Peterson w imieniu Rządu W. Brytanii i Minister dla spraw handlu zagranicznego Mikoyan w imieniu Rządu ZSRR podpisali umowę handlową pomiędzy obu państwami. Porozumienie handlowe ustala program wzajemnych dostaw towarowych w obecnym roku oraz — co specjalnie zostało podkreślone w protokule dołączonym do umowy— ma stanowić podwaliny dla rozwoju stosunków handlowych pomiędzy obu krajami na dalszą metę.

W okresie pomiędzy 1 lutym a 30 wrześniem br. Związek Radziecki zobowiązuje się dostarczyć W. Brytanii ze zbiorów w 1947 r. — 450 tys. ton jęczmienia, 200 tys. ton kukurydzy i 100 tys. ton owsa. W zamian za to W. Brytania dostarczy Związkowi Radzieckiemu 35 tys. ton szyn kolejowych oraz cały szereg artykułów o charakterze inwestycyjnym (lokomotywy, turbiny, aparaty i instrumenty laboratoryjne, wyposażenie elektrotechniczne itp.). W najbliższym czasie mają być prowadzone szczegółowe negocjacje w sprawie dostarczenia Związkowi Radzieckiemu wełny, aluminium, kawy i kilku innych artykułów.

W stosunku do porozumienia na dalszą metę wspomnieć należy, że zawarte porozumienie przewiduje, że nie później niż w maju rządy obu państw wydelegują swych przedstawicieli w celu dokonania przeglądu rozliczeń finansowych z tytułu dokonanych dostaw oraz celem omówienia ewentualnej dostawy innych jeszcze artykułów (np. pszenica, celuloza, budulec przez ZSRR,

Omawiane porozumienie handlowe przewiduje również, że przedstawiciele obu państw winni się spotykać przynajmniej raz w roku dla przedyskutowania uzyskanych wyników handlowych w ramach obowiązującego porozumienia oraz dla opracowania wniosków odnośnie rozszerzenia stosunków handlowych między obu krajami na dalszą metę.

Nie przesądzając wykonania w pełni przedstawionych pokrótce głównych zasad porozumienia handlowego, należy podkreślić, że sam fakt jego zawarcia jest wielce ważny z punktu widzenia gospodarczego obu krajów.

Jeśli o Wielką Brytanię chodzi, wystarczy zaznaczyć, że przez zawarcie tego porozumienia Wielka Brytania ma przede wszystkim zapewnione dostawy poważnych ilości zboża, które jest w chwili obecnej tak trudne do uzyskania (ze względu na jego deficytowość w skali światowej) oraz pewne ilości budulca i celulozy. Oprócz tego znaczenie porozumienia dla W. Brytanii polega również na sposobie zapłaty za otrzymywane artykuły. Pamiętać bowiem musimy, że W. Brytania, kupując konieczne ilości zboża w Stanach Zjednoczonych czy państwach Ameryki Południowej, zmuszona jest płacić należność z szybko topniejących obecnie jej rezerw dolarowych. Z drugiej zaś strony zbyt artykułów inwestycyjnych do Ameryki w ogólności, a do Stanów Zjednoczonych w szczególności, nie jest tak łatwy.

Dla Związku Radzieckiego szczególnie cenną jest możność otrzymania artykułów inwestycyjnych potrzebnych do odbudowy przemysłu. Głównym bowiem hamulcem, który zwalnia tempo rozwoju produkcji w ZSRR są w chwili obecnej braki w technicznym aparacie przemysłowym, będące wynikiem spustoszeń, dokonanych podczas wojny.

Korzyści porozumienia handlowego są więc oczywiste dla obu stron.

Jak już wspominaliśmy, zawarcie układu handlowego między ZSRR i W. Brytanią nie jest również pozbawione znaczenia politycznego. Jest ono bowiem najlepszym sprawdzianem tego, że polityka prowojenna nie leży w interesach W. Brytanii. Przeciwnie, dla przezwyciężenia obecnych trudności gospodarczych potrzebna jest dla W. Brytanii ożywiona wymiana towarowa ze Związkiem Radzieckim. Rzecz ma się zresztą analogicznie i w stosunku do innych krajów Europy Wschodniej. Istnieje co prawda dla Wielkiej Brytanii i druga droga dla przezwyciężenia obecnych trudności gospodarczych, lecz droga ta prowadzi do kompromitowania samodzielności gospodarczej W. Brytanii a tym samym i politycznej na rzecz Stanów Zjednoczonych (za pomoc finansową udzieloną przez te ostatnie).

W polityce angielskiej mamy możność obserwować niejednokrotnie w powojennym okresie oscylowanie między tymi dwiema tendencjami. Zawarcie umowy handlowej z ZSRR jest wyrazem jednej z nich.

K.

S. O. S.

Słusznie podkreślił poseł dr. Frankowski w przemówieniu wygłoszonym na plenum Sejmu w dn. 30.XII 1947, „że pozycja wpływów Państwowego Monopolu Spirytusowego w roku bieżącym w wysokości 47 miliardów złotych, czyli przeszło 12% ogólnych wpływów stanowi dla nas groźne memento". Dla uzasadnienia tego określenia dr. Frankowski wyjaśnił, że wpływy z Monopolu Spirytusowego wyniosły w 1937-1938 r. tylko 7% w ogólnej masie wpływów. Analogicznie wzrosło spożycie spirytusu konsumcyjnego, które w 1938 r., wyniosło 1,31 na głowę ludności, a przy obecnie projektowanej produkcji wyniesie około 2 litry, co oznacza około 5 litrów zwykłej wódki na głowę ludności.

To znaczy, że na głowę ludności wypada obecnie 10,75 l wódki zwykłej więcej, niż przed wojną. Uwzględniając zaś, że w konsumcji nie wchodzą w grę dzieci, starcy i chorzy, na głowę reszty społeczeństwa, niż 5 l. wódki w stosunku rocznym.

Jaka jest wymowa tych cyfr?

Powaga sytuacji sprowadza się do następujących momentów zasadniczych: zdrowia, moralności i bytu materialnego społeczeństwa.

Dość mamy sposobności, aby stwierdzić ujemny wpływ zwiększającego się spożycia alkoholu na zdrowie oraz na ogólny upadek moralności, co stanowi szczególnie groźne niebezpieczeństwo, jeśli chodzi o młodzież. Nikt już chyba nie ma wątpliwości co do tego, że wódka w tych ilościach, w jakich jest w Polsce w dobie obecnej konsumowana, powoduje częste załamania się moralne i upadek intelektualny jednostek oraz stanowi furtkę do wszelakiego rodzaju nadużyć i przestępstw. Podobnie zgubną jest również rola alkoholu dla pozytywnego kształtowania się stosunków rodzinnych i towarzyskich. Odnośnie tych ostatnich wódka coraz to powszechniej stanowi ich główną osnowę.

Zwrócić trzeba jeszcze uwagę na wpływ konsumcji wódki (w obecnych rozmiarach) na byt materialny całego społeczeństwa. Owe blisko 47 miliardy złotych wpływu z tytułu sprzedanego alkoholu konsumcyjnego jest sumą, która w ciągu jednego roku obciąży fundusz płac. To znaczy, że o 47 miliardy złotych społeczeństwo przeznaczy mniej na wyżywienie, odzież, zdrowie, wychowanie młodzieży, czy też na rozrywki kulturalne. Samo społeczeństwo hamuje w ten sposób podnoszenie się standartu życiowego.

Jeżeli zaś uwzględnimy, że na ogólną ilość konsumentów poważną część stanowią zatrudnieni w sektorze państwowym, których zarobki są i tak bardzo niskie, tym ostrzej występują kontury problemu obniżania się dochodu indywidualnego na skutek konsumcji alkoholu.

Suma 47 miliardów złotych, która ma być wydatkowana przez społeczeństwo na alkohol w roku bieżącym jest obniżką płac realnych, przyczym obniżka ta jest przeprowadzana dobrowolnie przez społeczeństwo.

Rozwiązanie problemu nie nastąpi od strony decyzji władz odnośnie ilości, które mają być wyprodukowane. Zadecyduje tu bowiem konsument, do którego zapotrzebowania dostosuje się produkcja.

Punkt ciężkości w rozwiązaniu problemu spoczywa w ręku konsumenta — społeczeństwa.

(k)

Czytelnik uważa, że...

DO REDAKCJI „DZIŚ i JUTRO"

W związku z artykułem p. Wojciecha Kętrzyńskiego p. t. „Wspomnienia sprzed 3 lat", zamieszczonym w świątecznym numerze „Dziś i Jutro" chciałbym dorzucić kilka szczegółów. Pewne fakty zostały bowiem przez p. Kętrzyńskiego niewłaściwie naświetlone, a niektóre sądy tak sformułowane, że nie oddają one stanu faktycznego, którego autor mógł zresztą nie znać.

P. Kętrzyński w swoich „Wspomnieniach sprzed 3 lat" dzieli katolików w Polsce „pod względem postawy i zewnętrznej twórczości, na dwie kategorie: na tych, którzy zdecydowani są w dzisiejszych trudnych warunkach działać i budować i na tych, którzy stanąwszy w miejscu oglądają się wstecz". Pozwolę sobie myśl autora jasno sformułować. Otóż według p. Kętrzyńskiego katolicy polscy dzielą się na dwie grupy. Pierwszą z nich stanowi zespół „Dziś i Jutro". On to bierze czynny udział w zewnętrznej twórczości. Drugą grupę tworzy zespół „Tygodnika Powszechnego" wraz z pozostałymi tygodnikami katolickimi. Wokół nich grupują się katolicy — „wyczekiwacze" — „którzy na czas nie umieją powziąć decyzji", którzy miotają się w niepewnościach, choćby najbardziej usprawiedliwionych".

Co mówią fakty? Otóż „Tygodnik Katolicki" rozpoczął swoją działalność dnia 24 marca 1945 r. Katowicki „Gość Niedzielny", zaczął wychodzić już 11 lutego 1945 roku (!). Częstochowska „Niedziela", ukazała się po raz pierwszy 8 kwietnia, a poznański „Głos Katolicki" 29 kwietnia. Włocławek wydał pierwszy numer „Ładu Bożego" dnia 21 września, „Tygodnik Warszawski" zaś zaczął wychodzić z dniem 16 listopada. Tymczasem pierwszy numer „Dziś i Jutro" ukazał się 25 listopada 1945. A zatem „wyczekiwacze" w dniu pojawienia się „Dziś i Jutro" mieli już sześć tygodników i mogli się wykazać dorobkiem kilkudziesięciu numerów, gdyż cztery tygodniki miały już za sobą przeszło półroczną działalność, a „Tygodnik Powszechny" zdążył sobie wyrobić dobrze zasłużoną opinię pisma prowadzącego. Pisma „wyczekiwaczy" stając zdecydowanie na gruncie katolickim uznały światopogląd katolicki za swój własny i jedynie słuszny. W ten sposób dowiedli, że nie „miotają się w niepewnościach" i wykazali, że umieli „na czas powziąć decyzję".

Pisząc o zasługach tych „którzy w tym czasie (późnym latem 1945 r.) ściągali parokrotnie ludzi, by u stóp Jasnej Góry naradzać się nad sytuakcją katolików, aktualnymi celami ich działalności, wytknąć sobie zadania na bliższą i dalszą przyszłość", p. Kętrzyński sugeruje, że jest to zasługą grupy „Dziś i Jutro" — takie przynajmniej odnosi się wrażenie przy czytaniu artykułu.

Prawda jest jednak inna. Katoliccy pisarze i redaktorzy, zebrali się na Jasnej Górze tylko raz jeden. Inicjatywa zaś tego zebrania wyszła z częstochowskiej „Niedzieli", która uważała za słuszne, by odbyć wspólną pielgrzymkę do Częstochowy i przy tej sposobności pomyśleć o programie przyszłej swej pracy. Wynikiem tego było sformułowanie pięciu postulatów, które wymienia p. Kętrzyński. Pierwszy jednak postulat mówił wyraźnie o wskrzeszeniu przedwojennego „Zjednoczenia Pisarzy Katolickich" z tym, że gdyby to natrafić miało na trudności, to należałoby się zastanowić, czy nie dałoby się je wskrzesić „u boku Zw. Literatów".

Zrealizowaniem tych 5 postulatów miał się zająć wyłoniony w Częstochowie Komitet Organizacyjny, który wkrótce został powiększony do 9 osób, w tym 5 świeckich i 4 księży. Komitet ten zebrał się po raz ostatni w Krakowie 28 czy 29 grudnia 1945. Po tym terminie się już więcej nie zebrał.

Co było przyczyną, że Komitet przestał działać? P. Kętrzyński twierdzi, że trudności miały wyrosnąć wewnątrz i właśnie te wewnętrzne opory miały zahamować najpoważniej dalszy rozwój. Winę tego ponoszą „wyczekiwacze", gdyż — wg. p. Kętrzyńskiego — „w tej pierwszej generalnej bitwie, obóz wyczekiwaczy odniósł niewątpliwe i druzgocące zwycięstwo".

Owszem trudności **były**. Rzecz to całkiem naturalna. Nie były one jednak tego rodzaju, by (wewnątrz) uniemożliwić urzeczywistnienie planu. Plan przekreśliło co innego. Głównym zadaniem Komitetu organizacyjnego było zorganizowanie pierwszego powojennego zebrania „Zjednoczenia Pisarzy Katolickich". Na ostatnim zebraniu Komitetu w Krakowie, zaproponowałem urządzenie zjazdu w Poznaniu, na co Komitet się zgodził. Równocześnie jednak postanowiono, że w imieniu Komitetu złoży p. Dobraczyński wniosek o reaktywizację Zjednoczenia Pisarzy Katolickich u odnośnych władz w Warszawie. Fakt zgłoszenia reaktywizacji uprawniał bowiem według ówczesnych przepisów prawnych do odbycia pierwszego zebrania.

W pierwszych dniach stycznia sprawa zorganizowania **była** na tyle posunięta, że mogłem był przystąpić do wysyłki zaproszeń zjazdu. Miały one być drukowane. Urząd Kontroli Prasy jednak nie zezwolił na ich druk dla braku podstaw prawnych do odbycia zebrania. Wobec tego nie chcąc dla krótkiego terminu — zjazd był planowany na 2 i 3 lutego — opóźnić wysyłkę zaproszeń, wygotowałem je na powielaczu. (Zaproszenia wraz z zaadresowanymi kopertami do dnia dzisiejszego leżą w moim biurku). Równocześnie wysłałem do p. Dobraczyńskiego list z zapytaniem, czy wniosek o reaktywizację został w Warszawie złożony. List mój pozostał bez odpowiedzi. Wobec tego uważałem za właściwe zaproszeń nie wysyłać i zaniechać zwołania zjazdu, gdyż zjazd taki nie byłby legalny. A zatem nie trudności wewnętrzne były przyczyną zaniechania postanowień częstochowskich, ale niedopełnienie koniecznych formalności. I to jeszcze trzeba na zakończenie podnieść, że ja — należący do obozu wyczekiwaczy — wypełniłem obowiązki, jakie na mnie Komitet nałożył i których się podjąłem.

Z wyrazami szacunku.

Ks. dr Roman Mieliński

Poznań, dnia 2 stycznia 1948 r.

Jan Radoński

„SKRZYDŁA"

(dokończenie)

Wtedy to i taki, co to tylko wystękiwał z trudem: twenty cigarettes, shall we walk after the dance — mógł sobie coś wynaleźć, bo wszyscy się uczyli jak jasna śmietana.

A uczyć się trzeba wielu rzeczy, np. co to jest zapadka, łapka, przesuwka, tylne wodzidło podajnika, albo jak głęboka musi być latryna obozowa w warunkach tropikalnych.

Dla samej miłości prawdy wyznać muszę, że odpowiedzi na egzaminie nie muszą być przesadnie dokładne. Na ostatnie pytanie np. wystarczy odpowiedzieć, że musi być dostatecznie głęboka, aby zapachy nie dochodziły. Ale już za to trzeba dokładnie odpowiedzieć, kiedy u zatrutego chloropikryną następuje, jak chce urzędowy skrypt — okres dobrego się czucia. No niech mi kto powie kiedy? Po sznapsie trudno zgadnąć, a cóż dopiero po chloropikrynie! Zresztą kończy się identycznie tak samo — wymiotami. Nie zawsze można się spuścić na własną inteligencję i czasem bardzo skrupulatnie trzeba studiować skrypty i słuchać wykładów. Doświadczył tego jeden młody człowiek. Na egzaminie z Medical Office miał postawione pytanie, co należy czynić, jeśli pilot w samolocie odmrozi sobie nogę, albo coś w tym rodzaju. Chłopaczysko wspomniał sobie narty, Zakopane i nie wiele myśląc kropnął, że w takim wypadku trzeba nacierać miejsce odmrożone śniegiem. Komisja egzaminacyjna, wychodząc z założenia, że o śnieg w samolocie jest rather trudno oblała biedaka bez litości. I stracił, czy też jak się to mówi u nas, zyskał trzy miesiące życia. Poszedł na młodszy kurs. O głupią odmrożoną nogę!

I tak się trzeba uczyć długo, w międzyczasie gimnastykę odprawując, w kusych majtkach po ulicy latać, zanim się nie zobaczy pierwszego samolotu.

Samolot rzecz nieważna, główne to, że się dostaje piękny kombinezon, z bobrowym kołnierzem, że choćby i pod biegun, buty futrzane, hełm, okulary spadochron, kolekcję rękawiczek i szereg różnych rzeczy, z którymi nie wiadomo co robić. A jak się z tym w te pędy do fotografa leci, to wstyd, bo nie wiadomo, jak się w to ubrać. Ale to dziad doświadczony i nie jednego takiego niepoczętego orła na objektyw brał, więc i ubrać się pomoże i klamry spadochronu zapnie, że wszystko jest w porządku. Fotografia jest O. K. i dziewczyna się cieszy, jakiego to bohatera ma na osobistą własność.

No, niedługo tej nieświadomości i tego fotografowania się w całym rynsztunku, bo zaczyna się latanie.

Samo latanie, jak wiadomo składa się z dwóch elementów: z latania i z czekania. Lata się po dwadzieścia minut, czeka się cztery godziny, albo i więcej. Drugie pół dnia poświęcone jest na wykłady i to jest bardzo uciążliwe, bo stale ktoś gada i spać spokojnie nie daje. Ale cóż, kultury osobistej brak!

Lata się z instruktorem, którym jest zwykle stary wyjadacz, świetny pilot, który ma całe latanie w jednym palcu i mało się nie wścieknie, że człowiek nie jest odrazu Skalski lub Orliński. Toteż ryczy i wymyśla okropnie, bez względu na szarżę ucznia, ale o to nie można się gniewać, bo to już taki od lat przywilej instruktora i poza tym, niestety, zawsze prawie ma rację! Zresztą na ziemi przyjaźń jest wielka i nawet wspólne popijawy są częste, ale w powietrzu — niech Pan Bóg broni!

Protekcji i włażenia bez wazeliny nie ma. „Żeby mi sam generał Sosnkowski tak latał jak pan, to bym bez miłosierdzia wylał. Wisi, wisi! Na lewe skrzydło wisi, wyrównaj. To jest wyrównanie? Guwernerem pańskim nie będę. Raz mówię, musi wystarczyć. Trzymaj, bo w lewo ucieka. Obierz sobie jakąś chmurkę, jak za pierwszym razem. Nie ciągnij, na jaką cholerę ciągniesz na siebie, nie ciągnij mówię, bo się zabijesz, a ja palcem nie ruszę! Chcesz, to idź na cmentarz! Panie Radoński, Panie Radoński, co robisz, draniu? Zabić chcesz siebie i mnie? Com ci zawinił, co ci dzieci moje winne, że je chcesz sierotkami bez ojca uczynić? Nie żal ci tych niewinnych istotek, które oczęta wypatrują tatusia wyglądając? Nie duś, nie duś, patrz gdzie horyzont. A jakie obroty pytam, a gdzie to horyzont! Oddaj, oddaj, bo wpadniemy w korkociąg. A zabij się, draniu jeden, jak chcesz, palcem nawet nie ruszę! No, widzi pan, żebym nie wyrównał, tobyś pan już był całkiem przystojny, jak na nieboszczyka. Znowu wisi? Ile razy mam mówić! A cóż to za idiotyczna szybkość! Czy to karawan czy samolot? Dodać leciuteńko gazu. Pędu pan się boi! Nie tak dużo, o rany! Artysta, psiakrew, literat! Trochę mówiłem, a ten całą łapą! Panie Radoński, ja tego wcale nie widzę, ale niektórzy mówią, że pan inteligent, nie będę więc panu po imieniu mówił. Ja prosty człowiek nie śmię pana tykać, ale powiem tylko: Pies panu mordę lizał z takim lataniem. Wracamy! Ja prowadzę!"

Robi prześliczny wiraż, taki jakiego, jak mi się zdaje, w tym życiu doczesnym wykonać nigdy nie potrafię, i lekko siadamy na lotnisku, po czym kołujemy do flight'u i gdy zmaltretowany i zniechęcony do życia, a zwłaszcza do latania, wyłażę z samolotu i zdejmuję haubę, widzę życzliwe oczy mego oprawcy i słyszę:

— No, dzisiaj to wcale nieźle było, tylko tak dalej...

Ale dalej bywa różnie. Wiele czasu upłynie i wiele trzeba usłyszeć mało pochlebnych opinii o sobie, nim wreszcie instruktor uzna, że uczeń może pierwszy raz polecieć sam. To się nazywa laszowaniem. Od tego czasu lata się już przeważnie samemu, coraz lepiej, coraz lepiej, robi się akrobacje, poznaje się nocne loty, loty na „ślepaka", coraz mniej się człowiek myli i obserwowanie kilku naraz instrumentów nie wygląda tak przeraźliwie.

Czy są wypadki w czasie szkolenia? Cóż na to odpowiedzieć? Kto się boi, czyli mówiąc literackim językiem — nawala — powinien znaleźć sobie jakieś spokojniejsze zajęcie. Może zbierać grzyby, może organizować amatorskie przedstawienia „Zaczarowanego Koła" Rydla w Czołówce Lotniczej i grać w nim rolę Wojewody albo „Leśnego dziadka". Dla człowieka z inicjatywą i inteligencją, każda droga stoi zawsze otworem...

Nie ulega jednak kwestii, że mnogie, a złośliwe niebezpieczeństwa, czyhają na początkującego lotnika. Bez przesady można powiedzieć, że szkolenie to najgroźniejszy, oczywiście poza małżeństwem, okres w karierze lotniczej.

Każdej chwili grozi uczniowi śmiertelne niebezpieczeństwo: każdej chwili może go na ulicy przejechać samochód, albo nawet rower, może się w piątkowy obiad udławić ością, może umrzeć z nudów, a wykładów, trzeba wiedzieć, jest masę. Co tam loty operacyjne! Zwykła operacja wypalenia brodawki może przy sprzyjających okolicznościach skończyć się śmiertelnie, a zapalenie się silnika nie jest najgroźniejszym z zapaleń.

Jedno drgnięcie ręki, jeden nieostrożny ruch i żyletka tnie ci mordę, po tym gangrena, pośmiertny order i zimna mogiła, pokrywa młodego orła.

My co prawda, jak nam do prawdy zbyt często, niestety mówią, nie jesteśmy jeszcze nawet orlętami. Jeszcześmy się nawet nie wykluli. Dopiero nas wysiadują i długo będzie trzeba czekać nim pofruniemy pierwszy raz naprawdę. Ale wierzymy, że to kiedyś nastąpi.

Spełni się proroctwo naszego szefa, że źle skończymy, to znaczy dostaniemy gapy na piersi, bo piersi na gapę to już teraz też mamy i wtedy się zacznie życie. Albo oczywiście skończy się, ale o tym się nigdy nie myśli...

Warto by jeszcze coś wspomnieć o urlopie. Urlop jest najprzykrzejszym okresem szkolenia, bo zawsze zawcześnie się kończy, a jak na złość najciekawsze przygody zdarzają się w ostatnim dniu. W ciągu urlopu najmniej jeden dzień poświęca się na Londyn, aby móc nacieszyć oczy widokiem tak licznych, jak nigdzie, polskich mundurów. Co tu tego, co tu tego, aż serce rośnie, a ręka opada ze zmęczenia od ciągłego salutowania!

Miło też jest być nie tylko gościnnie przyjmowanym przez rodaków, ale oświecanym w miarę, a nawet nad miarę potrzeby. Wszystko wiedzą i wszystko ci wytłumaczą. I kiedy wojna się skończy, i dlaczego Ameryka z Giraud, a nie z de Gaulle, i dlaczego Turcja, i dlaczego ministrowa Mogiła - Siupalska, i dlaczego dyrektor Cipa jest źle widziany w M. S. K., i gdzie kupić bez kuponów i w ogóle wszystko.

Próbowałem kiedyś bronić dobrego imienia Polaków między Polakami, ale mnie zakrzyczeli i bardzo dokładnie udowodnili, że nie mam racji. Okazało się, że jesteśmy wszyscy kupą uciekinierów zaleszczyckich, karierowiczów, niedołężnych generałów i humorystycznych kandydatów na wodzów. Ale niechno jakiś cudzoziemiec się ośmieli coś nam przygadać — rany boskie — zaraz wszyscy na niego z pyskiem, zaraz listy do editor'a i w ogóle obraza wielka. Stąd wniosek, że tylko Polak ma prawo wymyślać Polakowi. Zgoda. Niech i tak będzie!

Nic mnie to nie obchodzi, ponieważ z tego prawa nie mam zamiaru korzystać.

Pełen jestem entuzjazmu dla wszystkich rodaków na emigracji, wolałbym tylko, aby nas żołnierzy nie częstowali tymi historyjkami o różnych szwindelkach. Bo my wolimy wierzyć, że wszyscy myślą tylko o jednym: żeby wrócić do własnego, prawdziwego domu.

A jak się dowiadujemy, że są inni co znowu się biją o posady, o pensje, o stosunki, to człowiek się robi taki zakłopotany, że z nogi na nogę przestępuje, głupkowato się uśmiecha i nie wie co robić z rękami, tylko je bezmyślnie zaciera, zaciera. Aż się spocą. I zaczynają swędzić...

Jan Radoński.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyna.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 1?, tel. 880-71. Konto P.K.O. - Nr 1-727

Wydawca Kolegium Redakcyjne

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 8.

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.

B-43287